KORNEL MAKUSZYŃSKI

FATALNA SZPILKA

PRZERAŹLIWA HISTORJA,
DO GŁĘBI WZRUSZAJĄCA.

1925
NAKŁAD „WESOŁEJ BIBLJOTEKI"
WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA
Poznań: Fiszer i Majewski — Łódź i Katowice:
L. Fiszer — Toruń i Siedlce: Tow. Wyd. „Ignis"

Digitized by Google
Original from PENN STATE

Fatalna szpilka

Kornel Makuszyński

E. Wende i Spółka, Warszawa, 1925

Pobrano z Wikiźródeł dnia 10 listopada 2025

KORNEL MAKUSZYŃSKI

FATALNA SZPILKA

PRZERAŹLIWA HISTORJA,
DO GŁĘBI WZRUSZAJĄCA.

1925
NAKŁAD „WESOŁEJ BIBLJOTEKI“
WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA
Poznań: Fiszer i Majewski — Łódź i Katowice:
L. Fiszer — Toruń i Siedlce: Tow. Wyd. „Ignis“

Druk Zakładów Drukarskich W. PIEKARNIAKA,
Warszawa, Ordynacka Nr. 3. telefon Nr. 44-59.

Spis rozdziałów[1]

Rozdział pierwszy 5
Rozdział drugi 18
Rozdział trzeci 33
Rozdział czwarty 51
Rozdział piąty 75
Rozdział szósty 89
Rozdział siódmy 106
Rozdział ósmy 120
Rozdział dziewiąty 136
Rozdział dziesiąty 154

1. ↑ dodany przez Wikiźródła

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ PIERWSZY,

Z KTÓREGO CZYTELNIK NICZEGO SIĘ NIE DOWIE, GDYŻ AUTOR ZAJĘTY JEST ROZMYŚLANIEM.

Autor rozmyśla:

Nauka powiada, że nic w naturze nie ginie, — czasem tylko zginie złoty zegarek, lub portfel. Pominąwszy jednak te dość częste wyjątki, przyznać trzeba, że nauka wygłasza prawdy wzniosłe i mądre, tylko, że człowiek jest czasem matoł i pojąć ich nie może. Najmniej jednak rozgarnięty zrozumie, że takie urządzenie świata, na którym nic zginąć nie może, co bowiem zginie, musi powrócić w innej postaci, jest urządzeniem dowcipnem. Jeśli ci zginie żona, — żona, całe szczęście twoje, — wnet w innym powraca ono kształcie, wraca jako spokój, równowaga ducha, cisza poranna i wieczorna, więc znowu jako szczęście niewysłowione. Natura jest sprawiedliwa. Jeśli zginie z rzeczywistości na ten przykład spalony przez ciebie papieros, wraca jego dusza jako zapalenie błon śluzowych. Butelka wina zniweczona przez wypicie, zjawia się jako kamienie wątrobiane.

Są to przykłady wcale mizerne, można je jednakże podnieść do żywiołowej potęgi i piękne na ten temat snuć rozmyślania. Nie ginie tedy oddech morza, gdyż wraca w nie jako burza i deszczowa woda, piorun, wystrzelony z brzucha czarnej chmury, zjawia się jako skałka meteorytu.

Tak też i dusza ludzka, przez lekarza, który cię leczył pieczołowicie, wystrzelona w zaświaty, wraca zawsze na ziemię w postaciach najrozmaitszych, więc dusza teściowej zmienia się w trzaskanie szafy lub zlatywanie talerzy z półek; dusza pijaka rozpęka napełnione winem szklanki, z zawiści to czyniąc i z goryczy; dusza pisarza wraca na ziemię jako mysz w bibliotece, łakoma i zawsze głodna: dusza wydawcy dlatego nie wraca w żadnej postaci, gdyż jej nie było — wydawca nie ma duszy.

Koło żywota jest w wiecznym ruchu, drganie atomu pobudza drganie sąsiedniego i tak to wszystko drży i rusza się i nic nie przepada. Frywolny człowiek mógłby w pustocie swojej pomyśleć, że jest na weselu warszawskiem, przy ulicy Miłej lub Spokojnej, gdzie się wszystko kręci rytmicznie, dokładnie i wkółko, a kiedy ktoś wykona ruch żywszy i pan młody na ten przykład da w pysk pierwszemu drużbie, ten w tej chwili wali drugiego drużbę, drugi drużba pierwszego z brzegu gościa, ten następnego i tak wkółko, aż się zamknie to mistyczne koło. Tak to porządek odwieczny we wszechświecie odbija się w kropelce wody, albo w weselu na Spokojnej.

Żaden ruch nie ginie, nie ginie żaden pyłek. Jest tedy rzeczą oczywistą, że każda rzecz zgubiona nie przepada, po prostu dlatego, że ją przecież ktoś znajdzie. I tylko człowiek małego umysłu wpada w rozpacz, zgubiwszy brylant, rozpacz jego bowiem nie umie się tem pocieszyć, że brylant wcale nie zginie. Wszystko się znajdzie, co zostało zgubione, natura zaś nie może dbać o drobiazgową i bezsensowną formalistykę, aby właśnie ten sam znalazł, co

zgubił. To już jest sprawą głupiego bałwana — przypadku, mądrość natury nie ma z tem nic wspólnego.

Ponieważ ta historja przeraźliwa, którą tu opowiedzieć zamierzamy, wynika z tego, że ktoś coś znalazł, nie będzie od rzeczy zastanowić się pobieżnie nad tem, jakie się na świecie utarły zwyczaje na temat „zgubiono — znaleziono“, jak nienapisana umowa społeczna komentuje różnorodne przypadki i jakie zaburzenia w psychice ludzkiej dokonywają się na tem tle?

Twierdzeniu, że nic w naturze nie ginie, pozorny kłam zadać by mogło spostrzeżenie, że na tysiące rzeczy zgubionych znajdują się dwie, lub trzy. Mogłoby to nasunąć równocześnie wniosek ponury, że dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem przedmiotów znalazca ukradł, utaił i schował. Byłoby to takiem potwornem i na niczem nie opartem oskarżeniem wzniosłego i przeczystego ducha ludzkiego, że do wniosku takiego mógłby dojść tylko pesymista zawodowy, człowiek bez sumienia i bez serca: ajent policyjny, sędzia śledczy, lub prokurator. A przecież odpowiedź jest tak łatwa: nikt nie znalazł!

Zguba leży gdzieś, wdeptana w ziemię, albo wśród szpargałów. Uszczypliwa uwaga, że czasem nie można znaleźć opasłego kufra z garderobą, lub dziesięciu wagonów cukru i że trudno przypuścić, aby taki drobiazg wdeptano w ziemię, tak, że nikt go nie zauważył, — jest tylko uszczypliwą uwagą ludzkiej małpy, nie wierzącej w sprawy tajemnicze i nadprzyrodzone. Ha! A czy taki wie, że Atlantyda, kraj wielki, wyspa wspaniała, swojego czasu gdzieś zginęła i któż ją odnalazł? Cóż więc znaczy kufer z

garderobą?!

Przy odrobinie dobrej woli można więc sobie wytłómaczyć to dziwne na pozór zestawienie statystyczne i tę niewspółmierność. Nie wszystko zresztą znachodzi się odrazu, dopiero kiedyś, później. Raz zgubiona żona odnalezioną została niespodzianie po latach trzydziestu i rozpoznana po znamieniu za prawem uchem. Mąż płakał ze szczęścia, lecz mu zbytnie wzruszenie uderzyło na mózg, bo się tego dnia powiesił.

Nie należy tedy wątpić i trzeba za naturalną kolej rzeczy, co się kiedyś wyświetli, uważać tę sprawę.

Złożyło się przeto tak, — co można przeczytać w każdej gazecie, — że tego samego dnia w wielkiem mieście zgubiono: trzy pierścionki z brylantami, jeden ze szmaragdem i dwa z szafirem, pięć złotych zegarków, jeden platynowy, dwieście sześćdziesiąt lasek i parasoli, osiem pakietów papierów wartościowych, czternaście portfelów z pieniędzmi, futro sobolowe i dziewięć tysięcy weksli podpisanych, na wielkie sumy opiewających; a znaleziono: jeden parasol, książkę bez okładki, złamaną szczękę sztuczną, rękawiczkę nicianą jedną, kalosz z prawej nogi i psa dwumiesięcznego bez rasy.

Cóżby sobie zły człowiek pomyślał, gdybym mu przedtem nie wyjaśnił tego fenomenu i nie uspokoił go, że się tedy rzeczy drogocenne albo kiedyś znajdą, albo po wiekach zostaną odkopane, bo je pochłonęła ziemia, zachłanna na błyskotki, jak sroka?

Układ społeczny powiada: człowiek powinien gubić rzeczy cenne i bardzo kosztowne, przez co się okazuje, że

natura ludzka pełna jest wzniosłej pogardy dla bogactw i mało dba o nie i źle się niemi opiekuje, znachodzić zaś powinien przedmioty biedne, szare, „skarby pokornych“, w prostocie swej rzewne, radujące nie oko, lecz serce, budzące współczucie i litość. Znalazłszy bowiem brylant, uśmiechniesz się tylko łagodnie i pomyślisz: „Ach, jakaś piękna pani będzie miała niemiłą na balu niespodziankę. Wszyscy pomyślą, że zastawiła brylant!“ I tyle. Żadnego cieplejszego uczucia. Kiedy jednak znajdziesz przedmiot tak niezwykły, jak złamaną sztuczną szczękę, jesteś wzruszony szczerze i do głębi. Pomyślisz z litością: „O, jak biedny jest człowiek, który nietylko nie ma zębów własnych, ale jeszcze jest tak nieszczęśliwy, że gubi sztuczne! Cóż zrobi ten dobry, biedny człowiek? Łzy będzie miał w oczach, nie mogąc zjeść dziś kawałka suchego chleba!“

I wzruszony znalazca, na skrzydłach uczucia niesiony, oddaje przedmiot boleściwy policjantowi, aby go złożył gdzie należy i aby w pismach ogłosili, że nikt nie skrzywdzi bezzębnego biedaka.

Dlatego lepiej jest znaleźć nicianą rękawiczkę biednej szwaczki, o czem człowiek czuły mógłby rzewny napisać wiersz, aniżeli bicz pereł. I nietylko dlatego, że dusza znalazcy z rozrzewnienia czyni się lepsza, rozmyślając o biedocie nieszczęsnej dziewczyny, lecz z tego też powodu, że niciana rękawiczka jest zawsze prawdziwa, a tęczowe perły są zawsze fałszywe.

Cóż się jeszcze najłatwiej gubi, cóż się znajduje najłatwiej i najczęściej?

Najczęściej gubi się spinkę do kołnierzyka, najłatwiej znajduje się podrzucone niemowlęta. Natura jest sprawiedliwa i za rozpacz szukania spinki, rozpacz zazwyczaj bliską samobójstwa, daje człowiekowi chwilę tak niebiańskiego wzruszenia, jak ta, kiedy człowiek znajdzie na schodach drugiego człowieka, maleńkiego, ślicznego człowieka, co płacze i kwili, jak ptaszę i ma na pieluszkach kartkę z napisem: „To dziecko jest dziewczynką wyznania mojżeszowego“.

Przeniósłszy się w sferę ducha, zauważymy łatwo dziwną analogję z rzeczywistością. Zdawać by się mogło, że najważniejszą duchową funkcją człowieka jest ustawiczny proces gubienia. O każdym bowiem człowieku, bez najmniejszej możliwości pomyłki, powiedzieć można, że „zgubił duszę“. Jak to się robi, nie wiem; dusza moja jest skromna i czysta. Iluż jednak przyjaciół moich zgubiło duszę i teraz jej szuka w winie, lub w piekle miłości?!

— Spostrzeżenie, że ktoś zgubił głowę, nie budzi już tej sensacji. Do tego mało sensacyjnego zakresu należą te wypadki, o których się notuje: „autor się zgubił w ogólnikach“, — „autor zgubił wątek“, — „autor zgubił ideję“, — cóż bowiem innego może zgubić człowiek, nazywany autorem? Czy złoty zegarek? Zaprawdę, nie! Czy portfel? Ha! ha! jakież to śmieszne pytanie; taki to zawsze gubi rzeczy wesołe i tandetne: siebie, wątek, albo ideję.

Co się znachodzi w sferze ducha? Znachodzi się mniejwięcej to samo, co ktoś przedtem zgubił; więc człowiek „znalazł siebie“, — „znalazł swój ton“, — „znalazł sumienie“, — „znalazł w sobie serce“, — „znalazł

moc“. O, jakąż rupieciarnia jest wnętrze człowieka, w której nie znajdziesz nic innego, nic cenniejszego, jak „siebie“.

Najdziwniejsze jest to, że czynność znajdywania, nie jest czynnością prostą i niewymyślną. Można się znaleść i znaleść, wedle szerokiej skali, tak, lub inaczej. Mówi się wszakże wyraźnie: „ten człowiek „znalazł się z godnością“, albo „znalazł się jak idjota“, — „znalazł się pod psem“, — „haniebnie“, lub „dostojnie“. Czynność ta może być tak skomplikowana, że samo jej określenie przypomina paralityka, poskręcanego w esy floresy, są ci bowiem ludzie, co „znaleźli się w kropce“.

Jakże długo i nadobnie można by snuć takie rozmyślania, co by nie było sprawą niepożyteczną, jest to bowiem temat wzniosły. Rozkazanie ewangeliczne: szukajcie, a znajdziecie! — mieści w sobie myśl głęboką, to też żarliwi chrześcijanie szukają wciąż, w prostem i wzruszającem przekonaniu, że im za to obiecano znalezienie wielu złotych pieniędzy.

Wracając na ziemię, trzeba to jeszcze zauważyć w obronie honoru człowieka, że jeśli się nigdy nie kwapi z oddaniem znalezionej rzeczy, to tylko dlatego, że rzecz znalezioną uważa się — bardzo słusznie zresztą, — za rzecz, przynoszącą szczęście. Przekonał się o tem osobiście jeden taki, co znalazł miljon. Przyniosło mu to wiele szczęścia. Znacznie mniej szczęścia przynosi podkowa końska, mimo wielkiej pod tym względem reklamy. Znalezienie podkowy byłoby szczęściem raczej dla konia. Człowiek woli przedmioty bardziej ludzkie.

Mniemanie jednakże o szczęśliwych przymiotach rzeczy znalezionych nie jest słuszne w całej pełni. Nie wszystko znalezione jest szczęśliwe. Dlatego człowiek zawsze się uśmiecha ironicznie, mówiąc o drugim, że „znalazł szczęście w małżeństwie“.

Są rzeczy znalezione, które przynoszą nieszczęście.

Był taki egipski skarabeusz, łajdak w wieku lat czterech tysięcy, złośliwy, jak pawian. Kto go posiadał, umierał. Była taka kobieta...

Ale nie należy budzić grozy, mogłoby bowiem dojść do tego, że przerażony człowiek, znalazłszy worek złota, nie zechce go podnieść. Wynaturzanie i obłęd człowieka nie jest naszym zamiarem.

Trzeba jednak uśmiechnąć się, kiedy się w tego człowieka wmawia uporczywie, że znalazł coś, czego bynajmniej nie szukał, jakgdyby właśnie szukał. Kiedy ktoś utonął w kąpieli, piszą o nim potem w gazecie, że „znalazł śmierć w nurtach Wisły“. Znalazł? Czyż jej szukał? Wszystkiego można szukać w wodzie, ale nie śmierci.

Jeśli już mowa o wodzie i o tem, co można w niej znaleść, nie od rzeczy będzie wspomnienie o najstraszliwszej przygodzie w historji świata, historji, w której znaleziono — historję.

Oto jest ponury przykład, że nie wszystko znalezione przynosi szczęście, przykład, wobec którego wszystko jest marne i mizerne.

Cóż to znaleziono tak okropnego? Oto córka Faraona znalazła Mojżesza w trzcinie nilowej...

Jeśli się pomyśli, jakby cudownie wyglądał świat, gdyby

go nie znaleziono, — dusza zapada w melancholję. O, cóżeś uczynił, kwiecie lotosu, niemądra faraonówno!? Cóżeś uczyniła?

Oto jest przykład potężny, że nie wszystko trzeba znachodzić; czasem trzeba przejść mimo, udając, że się nie widzi. Jeśli zaś zachłanność ludzka jest tak wielka, że musi podnieść każdą rzecz zgubioną, niechżeż zachłanność ta zachowa niejaki rozsądek.

Naszym zamiarem jest opowieść o tem, jak źle czyni człowiek, który zamiast rzeczy cennej, znajduje byle co. Czasem bowiem w niepozornym drobiazgu ukryta jest siła fatalna, duch zły i złośliwy, który mieszka w przedmiocie nieopatrznie znalezionym.

Znałem takiego człowieka, który znalazł szpilkę. Zwyczajną, malutką szpilkę z czarnym łebkiem. W główce tej szpilki mieszkał djabel.

I oto, patrzcie, do czego może doprowadzić głupota człowieka, który nie znalazł Cohinoora, tylko szpilkę, który się pochylił, aby ją podnieść.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Kornel Makuszyński.*

ROZDZIAŁ DRUGI,

W KTÓRYM FATALNA SZPILKA WYSUWA SWÓJ MAŁY ŁEB NA ŚWIATŁO DZIENNE.

Oto jest człowiek, któremu przyjrzeć się należy, on to bowiem jest tym, co wyciśnie łzę z oczu ludzkich i serca zmusi do rzewnego łkania. Nic w nim w tej chwili niema takiego, co by zapowiadało łzy, jednak mnie już zwilgotniały oczy, mnie bowiem wiadoma jest jego przeraźliwa historja.

Jest to człowiek młody, miły bardzo i bardzo wesoły. Pan Bóg, który dary swoje rozdziela sprawiedliwie, dał mu wprawdzie tylko pół głowy, za to jednak półtora serca, dla równowagi. Tak jest zawsze; ludzie, którzy zupełnie nie mają głowy, mają za to dwa żołądki, albo jeden żołądek i ministerjalną tekę; kto ma zbyt wielką głowę, wskutek czego pisze wiersze, taki albo zupełnie nie ma żołądka, albo tylko jakąś minjaturową jego imitację, gdyż mu już ten sprzęt jest niepotrzebny.

Pół głowy wystarcza zupełnie do życia i jest zjawiskiem tak powszechnem, że zupełnie żadnej wśród ludzi nie budzi uwagi. Wielkiem i znamienitem jest zdarzeniem, jeśli się urodzi człowiek z głową cielęcia, inne jednak zniekształcenie głowy, mniejsza jej pojemność, ułamek przepisowej całości, nie warte jest wspomnienia. Człowiek jest organizmem tak silnym, że przez lata całe żyć potrafi z

jednem tylko płucem, dlaczegożby nie miał żyć z połową głowy, co jest do zauważenia znacznie trudniejsze w pierwszym rzędzie dla jej właściciela. Życia to nie mąci, nie przysparza zmartwień.

To też uśmiech nigdy nie schodził z pogodnego oblicza pana Feliksa Pączka.

Mój Boże! Jak niektórzy ludzie nazywają się pięknie, jak nadobnie, — ba! — jak smakowicie! I jest to jednak sprawą, godną podziwu, że w każdem imieniu i w każdem nazwisku jest jakiś tajemny zaczyn losów właściciela nazwiska, jest jakieś proroctwo, nie dające się określić, jakiś tajemny omen. Ludziom szczęśliwie nazwanym życie się snuje jakoś lepiej, gładziej i łatwiej. Jakgdyby los, ręką machnąwszy, mówił: „jak cię już tak nazwali, to niech ci się dzieje wedle imienia twojego!“

Zauważyli to chytrzy ludzie i zaczęli podchodzić los; poczęli mianować syny i córki swoje proroczo i przyjemnie; więc Bonawentura, Benwenuto, Feliks, Dobrosław, Bogdan, Bogusław, — najrozmaiciej. Los jednak uważał, że się go niepotrzebnie uważa za idjotę i często czyni przekornie.

Bez chytrości i podstępu pan Feliks Pączek został tak nazwany. Rodzina Pączków zwała się tak oddawna, Feliksem zaś został dlatego, że dobry znajomy i serdeczny przyjaciel jego mamy z okresu jego poczęcia, tak się właśnie wabił. Razem złączone imię z nazwiskiem „najmilsze z siebie dały malowidło“. Każdemu, kogo jako tako bito w szkole trzciną po głowie, wiadomo, że Feliks znaczy po katolicku: Szczęsny. Dodajcież do tego Pączka!

Ha! Któż nie wie, że może to być zawiązek kwiatu, kolebka wspaniałości, purpury, złota, lub błękitu, utajony jeszcze, w liść jeszcze owity cud życia, co jutro pod pocałunkiem słońca z przepychem się rozwinie i jak Sezam otworzy. Patrząc jednak na rumianą, okrągłą, wesołą twarz pana Feliksa, odnosiło się wrażenie, że to jednak nie o kwiaty idzie. Możnaby o kwiatach czule rozmyślać, gdyby rzecz szła o pannie Pączek. W tej jednak sprawie rumianość męskiego oblicza pana Feliksa przypominała inne piękności tego świata, nazwisko jego przywodziło na myśl cud sztuki kulinarnej, wynalazek polskiego genjuszu, dumę i chwałę polskiego żołądka, ów pączek, o którym się mówi, że „pływa w maśle“. Jest to ciastko przedziwne, niesłusznie przez Mickiewicza w eposie pominięte, chociaż uczczone być powinno opisem długim i dokładnym, ciastko tajemnicze, nigdy bowiem nie wiesz, co w niem siedzi, do wyrobienia trudne, może być bowiem lekkie, jak zefirek, jak anioł, lub jak kobieta, lub ciężkie, jak życie z kobietą, albo jak stufuntowa kula armatnia.

Los pozwolił najłaskawiej panu Feliksowi, aby nazwisku jego nie działa się krzywda i aby nie było rozdźwięku pomiędzy niem i żywotem jego pana. To też życie było dla pana Pączka, jak masło, a on w niem pływał lekko i z uśmiechem.

Na dźwięk tego smakowitego nazwiska każdy rad się uśmiechał i każdy patrzył przyjaźnie na tego tak słodko nazwanego człowieka. Przecież nie nazywał się Wilk, tylko Pączek. Napełniony był konfiturą niebylejaką: miał serce przedziwnie dobre, kamienicę w śródmieściu, bogatą ciotkę

na ostatnich dwóch nogach, gotówkę w ilości przyzwoitej, automobil zapłacony, żadnych długów. W karty nie grał, weksli nie podpisywał, kobiet się lękał, istniała więc wszelka pewność, że majątku nigdy nie straci. Był to przytem człowiek roztropny, wierszy nie pisał, więc nie pił, interesów nie robił, chyba pewne, takie na osiemset procentów, wydatek zaś raz na tydzień na kinematograf nietylko go nie rujnował, przeciwnie, kształcił go i to nie byle jak, lecz gruntownie, pan Pączek bowiem, szanując pieniądze i raz wszedłszy na widownię, siedział tam kamieniem przez wszystkie programy tego dnia, od godziny piątej do dwunastej w nocy. Stąd nabrał wielkiej znajomości dalekich krajów, obcych ludów i zwyczajów różnorodnych. Tak bardzo był w tem rozmiłowany, że mógł rozprawiać uczenie i zajmująco o Afryce Środkowej, o Azorach, lubo też o wszystkich szczepach indyjskich, o których wiedział, czy są przyjazne „bladym twarzom“, czy też łakną ich krwi, lub wódki, co sobie wyżej ceniły, dając tem dowód wielkiej i starodawnej mądrości.

Nie dziw to przeto, że jak bohaterski Otello opowieściami o bojach na dalekich morzach porwał białą duszę Desdemony, tak ci ów Feliks Pączek czarował kobiety. Potrafił on pleść opowieści tak przedziwne i tak zajmująco splątane, że febra trzęsła słuchaczem, jak wiatr trzęsie strachem na wróble. Były to opowieści najczęściej o sercach niewinnych, o miłości prześladowanej, przepływającej rzeki, skaczącej z dachu na dach, z automobilu na pociąg amerykański, z pociągu na aeroplan, z aeroplanu w nurty oceanu, gdzie czekały na nią rekiny.

Serca łkały i oczy otwierały swoje upusty.

Cóż tedy było dziwnego w tem, że śliczna panna Danuta Słoneczko, córka bogatego Litwina, rozmiłowała się w nim, jak Lizdejka w rycerzu? Pan Pączek zawrócił jej głowę tak umiejętnie, że biedna Litwineczka z miłości straciła apetyt i mogła zaledwie przełknąć sześćdziesiąt kołdunów, ilość, którą się litewski nie pożywi wróbel. Papa, stary Perkun, z pod oka na to patrzył, jak mu taki gładki Warszawiak na sikorkę potrzask zastawia, ale że nieurodzaj był na kawalerów, a ten przynajmniej nie był hołysz, więc już odżałował butelkę ocalonej starki i zaręczyny urządził na nowiu księżyca, trzy razy potajemnie splunąwszy dla odczynienia uroków.

Ślub pana Pączka z panną Słoneczko, (ach, jakież dzieci słodkie i promieniste wyda ta unja!) naznaczony był na dzień dziewiętnasty marca, w dzień świętego Józefa, w ów dzień nieszczęsny, w którym się żeni tylu dobrych ludzi.

— Bożeż ty mój! — szepnęło w zachwycie przeczyste jak Wilja dziewictwo panny Danuty. — Czy to aby prawda?

Albowiem pan Pączek obiecał dziewicy, że ją nazajutrz automobilem w podróż poślubną wywiezie do Paryża.

— Czy to aby nie podrywka, mój ty ukochany?

Więc pan Pączek paszport wydobył z portfelu z gotową wizą francuską i zdumionym jej oczom okazał.

— I pieczęcia też już jest i rozpiska jest?

— Wszystko w najlepszym gatunku!

Rozrzewniona dziewica padła mu w ramiona, jak Wilejka wpada do Wilji potężnej.

Szczęśliwy był pan Pączek, och tak! — i wiedział teraz

dopiero, dlaczego się nazywa Feliks. A kiedy spojrzał na jej biodra rozrosłe, jak Baublis „w którego ogromie, wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem“, — jeszcze się poczuł szczęśliwszy, że to on sam, bez tamtych dwunastu w dostatkach tych ucztować będzie. Dziewica była tak wspaniała, że on, Pączek, czuł się wobec tego gmachu słodyczy, jak mały pączek w wielkiej cukierni.

Serce miał tak nabrzmiałe miłością, jak bukłak z koźlej skóry nabrzmiały jest od wina, tak nią wzdęte, jak żagiel jest wzdęty wiatrem, jak topielec wodą, a dumą pyszałek; miłość śpiewała w nim, jak polne ptaszę, ocierała się o jego serce, jak kot, pyszniła się, jak paw, barwiła się, jak kameleon. Cud miłości sprawił, że w małem sercu pana Pączka była cała menażerja.

Do dnia ślubu było już niedaleko. Pan Pączek przygotował wszystko, wszystko przezornie, wszystko mądrze. Postarał się o zaświadczenie, że jest „literatem“ i otrzymał tani paszport, wynajął mieszkanie swoje na rok, który spędzi za granicą, spakował kufry. Trzeba było tylko zabrać do automobilu dziewictwo panny Danuty i pojechać za słońcem tam, gdzie ono rodzi wino, szczęśliwy uśmiech i piosenkę.

Pan Pączek się zamyślił.

— Gdzie jest — (pytał siebie) — człowiek odemnie szczęśliwszy? Bóg mi dał ojca, co umiał robić pieniądze, a temu ojcu syna, który ich nie stracił. Los mi dał pannę Danutę, a jej dał mnie. Jadły zacne Litwiny tylko grzyby i cietrzewie i narodową cnotę oszczędności doprowadziły do

rozmiarów bohaterstwa. Ach, jakiż to naród cnotliwy i zapobiegliwy. Nie doje, nie dopije, a pieniądze chowa... O, dzięki Ci, Panie Boże! Miej zawsze w opiece sługę swojego, któremu już dałeś tyle!

Spojrzał z wdzięcznością w niebo, a niebo się do niego uśmiechnęło.

Przechodnie spojrzeli przyjaźnie na człowieka, który się do wszystkiego uśmiecha. Rzewność wielka napłynęła w serce pana Pączka, tak, że wzruszony poszedł do kinematografu.

Pokazywano tam napad Indjan z krwawego plemienia Mingów na karawanę białych osadników, zdążających nad jezioro Ontario. W trzecim wozie w nieskończonym szeregu walczyła, jak lwica, młoda, piękna dziewczyna. Na nic jednak bohaterstwo dziewczęcego serca! O, rozpaczy! Stary wódz Mingów, Krwawy Byk, porwał ją, zdradziecko z tyłu zaszedłszy, aby ją oddać do wigwamu swego syna, krew pijącego dzikiego Czarnego Lisa, inaczej zwanego „Grzmiącą Rusznicą“.

Dobry pan Pączek miał na twarzy wypieki. Ręce mu drżały i nie wiedział, co z niemi uczynić. To też się zdumiał, gdy nagle usłyszał cichy syk:

— Zabierz pan rękę, bo zawołam policję...

Oto do czego przywodzi wielkie wzruszenie. Pan Pączek myślał:

— Raz w życiu to przeżyć, raz jeden w życiu!

Bowiem i w Pączku może być dusza bohaterska.

Kiedy nazajutrz opowiadał pannie Danucie historję okropnego porwania, czynił to z takiem wzburzeniem i z

takiem wzruszeniem, że panna spojrzała wcale ponuro.

— Coś panu aby ta pannica mocno się w głowę wkręciła...

I zawsze wesoła, panna Danuta wyglądała w tej chwili, jak ukwaszony rydz. Słusznie jej bowiem przyjść mogło na myśl, że jeśli pan Pączek jest taki romansowy wobec płótna, może się zdarzyć, że z ciałem żywem się zetknąwszy, pozwoli krwi swojej gwałtownej oszaleć. Nie może się to zdarzyć statecznej duszy litewskiej, co rok myśli, zanim słowo z siebie wypuści, lecz za to słowo mądrości pełne, a nie płoche, pełne wiatru, — duszy, co może wprawdzie oszaleć, zanim to jednak okaże, to już albo przedmiot miłosnego szaleństwa umarł, albo samego szaleńca złożono do trumny, — może się to zdarzyć jednak panu Pączkowi, duszy pełnej polotu, warszawskiej duszy rozsłonecznionej, śmigłym tramwajem po mieście życia jeżdżącej, rozśpiewanej i rozgadanej.

Panna Danuta zaczęła myśleć ponuro.

O, biedna litewska panienko! Niedługo ci przyszło czekać, kwiatku z nad Niemna!

Pan Pączek był człowiekiem wszędzie mile widzianym, gdyż wnosił wszędzie uśmiech, co się wśród ludzi rozumnych, równa przyniesieniu butelki dobrego wina. Lubiły go kobiety z wielu powodów znanych i z wielu powodów tajemnych, do których dotrzeć niepodobna, nie będąc kobietą. Pan Pączek lekki był jak kobieta i bardzo figlarny. To też nie zdziwił się wcale, że go zaproszono na wielką ucztę, którą wydawał mało mu zresztą znany bankier Stanisław, syn Abrahama Tulipan, katolik zresztą wyborny,

właściciel chrześcijańskiego imienia, wielkiego majątku, trzech koni wyścigowych i jednej baletnicy, która miała rozstrój żołądka, oprócz tego zaś słabość do pana Pączka.

Pan Tulipan wydawał wielką ucztę z powodu imienin panny Krystyny, która się wprawdzie nazywała Fabianna, ale jej wytłomaczono, że to nieprzyzwoicie i mogą z tego powodu być plotki.

Piękne to było przyjęcie i pełne wielkiej pogody. Stało się zaś głośne z powodu niemiłego zajścia, które zostało wywołane nadmiarem sarmackiego temperamentu pana Tulipana.

Ale to cała historja.

Pan Pączek wdział frak i gładził jego jedwabne klapy pieszczotliwie, myśląc radośnie:

— Za kilka dni będziemy brali ślub! Pamiętaj, żebyś się nie oblał dzisiaj szampanem. Bo będzie szampan, — ha! ha! — Żydy płacą!..

Gdy wchodził do przedsionka głośnej knajpy od strony gabinetów, uśmiechnął się po raz drugi. Usłyszał gwar bardzo burzliwy, więc doskonałą zapowiadający zabawę.

— A ja będę pierwszy! — pomyślał, patrząc w lustro, które błysnęło uradowane, że przegląda się w niem twarz tak bardzo miła, aby wąsom nadać jeszcze połysku.

Obciągając kamizelkę, zniżył pan Pączek nieco wzrok i w tej chwili ujrzał na marmurowej płycie, będącej podstawą lustra, coś świecącego.

— Ach, szpilka! — mruknął.

I już odchodził.

Nagle się zatrzymał.

— Nie trzeba gardzić i szpilką, — rzekł pan Pączek do pana Pączka, — zresztą rzecz znaleziona przynosi szczęście. Ha! ha! ha!

Wziął szpilkę w palce. Była to zwyczajna, głupia od urodzenia szpilka, z czarną główką. Takich szpilek jest na świecie jedenaście miljardów, osiemset dwadzieścia sześć miljonów i jeszcze kilka. Dlatego nikt nie dba o taki drobiazg, każdy go depce, nikt go nie ceni. A jednak jest to przedmiot pożyteczny.

Tego samego zdania był pan Pączek, więc choć o tem w tej chwili nie myślał, wpiął machinalnie szpilkę w klapę fraka. Ostrze jej zniknęło w jedwabiu, tylko jej oko czarne i błyszczące patrzyło na świat bystro. Widziało mnóstwo świateł i jedno najjaśniejsze: promienną, rozradowaną, zarumienioną, szczęśliwą twarz pana Pączka.

Czarne oko szpilki błysnęło złośliwie, kiedy pan Pączek stanął we drzwiach zwycięski, witany krzykiem i taką wrzawą, jak kiedy Krwawy Byk porywał Dziewczynę z Zachodu.

— Pan Pączek! Pan Pączek! Nareszcie!..

Pan Pączek, zarumieniony ze szczęścia, że tyle ludzkiej miłości wychodzi na jego spotkanie, ukłonił się przezabawnie, poczem ruchem teatralnym szybko położył rękę na sercu.

W tej chwili syknął.

Przejechał dłonią po wystającym zdradliwie ostrym końcu szpilki.

Światła nagle przygasły.

Ha!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ TRZECI,

W KTÓRYM FATALNA SZPILKA ROZPOCZYNA SWOJE DZIAŁANIE.

— Pan Pączek! pan Pączek! — krzyknęły damy i panowie.

Tak swoje „Ziemia! Ziemia!“ — wrzasnęli żeglarze Kolumba. Taki wrzask czynili Grekowie, morze ujrzawszy. Taki wrzask czynią Żydowie, rabina witając. Wrzask taki czyni rodzina, kiedy bogaty wuj nieboszczyk nagle się budzi z letargu, łajdak jeden. Taki rwetes podnoszą niewiasty na widok myszy niewinnej. Bowiem wrzask wesoły i wrzask, pełen lęku, jest zawsze tym samym wrzaskiem.

Pan Pączek wjechał na nim, jak na burzliwym obłoku i zstąpiwszy z niego, nie zważając na kropelki krwi, które mu się ukazały na ręce, witał pannę Krystynę, przyklęknąwszy, albowiem wielce cenił sobie tę dziewicę, która nią być przestała jedynie przez roztargnienie. Panna Krystyna zaróżowiła się, jak obłok, jak panna młoda, jak lakmusowy papierek, jak poseł, co pierwszy raz mówi, jak młody rzezimieszek, po raz pierwszy schwytany, jak żyd po chrzcie; pan Pączek nie był to byle kto, bo i bogaty i po francusku umiejący się rozmówić z Niemcem, a po niemiecku z Francuzem i wesoły i szczęśliwy i piękny. Nie byłby to honor nadmierny, gdyby tego nikt nie widział, bo

przed panną Krystyną klęczał raz nawet jeden sławny poeta i długo nie wstawał, bo mu podobno sfatygowane spodnie w tym wysiłku pękły, ale zawsze był to poeta. W tej chwili jednak ze dwadzieścia osób patrzyło na ten gest dworny i nader uprzejmy, a wśród nich koleżanki panny Krystyny, panienki nadobne, szlachetne szwaczki, panny z magazynów, daktylografki pracowite, uwielbiające pracę, miłość, radość i słodką wódkę.

— Szlag je w tej chwili wszystkie trafił! — pomyślała rzewnie panna Krystyna i migdałowe oczy zaszły jej mgłą wielkiego szczęścia.

Spojrzał pan Tulipan i na lwiem jego czole ukazała się taka mała chmurka, jaka czasem nad oceanem się zjawi, pierwszy goniec burzy, piorunami strzelającej. Pan Tulipan był to jednak gentelman, który znał staropolskie przysłowie, w rodzinie Tulipanów wielbione: „gość w dom i t. d.“

Zaczem do uczty pięknie prosił i podał ramię najbliżej stojącej damie, którą by od tej chwili słusznie zwać było można „damą tulipanową“.

Zapał wielki ogarnął gości, przeto rozpoczęli ucztę radosną i gwarną. Pan Pączek usiadł koło panny Krystyny i wprzód jej już swoje serce zaofiarowawszy, teraz jej podawał prosię na zimno, co ją znów rozrzewniło do głębi dziewiczego serca.

Pan Tulipan z powagą nalewał wódki znamienite i z uśmiechem podawał je swoim gościom; piły dziewice słodką wiśniową, albo pomarańczową słodzoną, poniektóra tylko pospołu z mężami o gardle mocnem i przepalonem goliła czystą mocną.

— Pij, Fela! nie bój nic! — mówiła panna Hela Mara, kinematograficzna adeptka do nieśmiałej i płochliwej pani Feli Pietruszkównej z baletu, — od tamtego paskudztwa głowa tylko boli, a to czysty kryształ. Czego się gapisz?

— Bo ten Pączek to jakiś dobry gość!

— Nie zawracaj sobie kontrafałdy, żeni się...

— No to co?

— Jakto co? zajęty...

— Zajęty, nie zajęty, a próbę generalną może zrobić. Popatrz, jak ta na niego leci...

— Kto? Krzysia? Leci, jak szafa na trzech nogach. Zaraz całkiem poleci, bo się zaleje.

— A Tulipan zły, że nie daj Boże. Staszek!

— Co panna Fela rozkaże?

— Niech pan patrzy, jak Krysia oblizuje się do Pączka.

— Nu, co jest?

— A pan jej taki pewny?

— Tysiąc złotych miesięcznie, to ja nie mam mieć pewności? Powiedz pani sama!

Ziarnko goryczy wpadło w czułą duszę pana Tulipana; odszedł powoli, aby się upić na smutno.

Tymczasem pan Pączek szalał. Pił wszystko, co przed nim stało, i był tak wesoły, tak ochoczy, że ściskając od czasu do czasu pod stołem rękę panny Krzysi, lewem okiem umizgał się do panny Feli, prawem do Dziuby, a ustami uśmiechał się do panny Mani Rwetes. Cały promieniał miłością, entuzjazmem i zachwytem w stronę życia. Stał się na krótką chwilę jego szalonym poetą, wielbił je w łososiu, różowym, jak (zapewne) delikatne ciało dziewicze, w

kawiorze, siły dającym, w majonezach przedziwnych, w tęczowych napojach, zimnych i gorących, duszę na skrzydłach w niebo unoszących, przedewszystkiem zaś wielbił je w cudzie stworzenia: w owych dziewojach, pełnych miłości i słodyczy, pełnych tęsknoty, żalów, wódki, szampana, dreszczów pożądania, niebiańskiego zachwytu, raków i homarów.

Wszystkie patrzyły na niego z rozmarzeniem i z zachwytem, jak na króla życia. I po chwili żadna z nich nie dziwiła się już zbytnio pannie Krzysi, prawnie przynależnej do firmy Stanisław Tulipan, że tak szczerze i bez obłudy manifestuje swój zachwyt miłosny dla pana Pączka.

Panna Krzysia była prima inter pares, należało wierzyć jej doświadczeniu i subtelnemu instynktowi. Jak królowa wśród pracowitych pszczółek, tak ci ona umiała pożywać bez pracy miody życia, na gody miłosne wylatując pod niebo. A one, biedactwa, musiały w ciężkiem utrudzeniu przelatywać z kwiatka na kwiatek, z groszku na koniczynkę. Panna Krzysia zaś zbierała miody na wspaniałym Tulipanie, z którego uczyniła sobie niewolnika, jak gdyby córce Faraonów przyszła fantazja wybrania sobie na kochanka przystojnego żydka z ziemi Goshen, aby jej służył pokornie, ale ze wszystkich sił swoich.

Śmiałe to jest coprawda porównanie, panna Krzysia bowiem, zanim zdołała jako baletnica ukazać wszem wobec i potem każdemu z osobna śmigłe piękno swoich nóg, zaprawiała się do życia nie w pałacu w Memfis, lecz na Solcu, gdzie dostojny jej ojciec był możnym burgrabią wielkiej kamienicy, tak jednak zamiłowanym w pracy, że

sam zamiatał ulicę i podwórzec zamkowy, skrapiał je wodą, nosił węgle na wysokie piętra i inne takie pożyteczne czynił rzeczy, za co niewdzięczność okolicznych mieszkańców, nie mogących pojąć szlachetnej manji pracy, obelżywie nazwała go stróżem. To go taką napełniło goryczą, że się rozpił, nie szanował policyjnej władzy i wyjeżdżał na nią z pyskiem, za co go wtrącono do srogiego więzienia. Kiedy z niego powracał, wzburzony swój gniew wylewał na wszystko, co było pod ręką. Pod ręką zawsze znajduje się najbliższa rodzina, wskutek czego najbliższa rodzina, stale miewała podbite oko, wybity przedni ząb, albo przetrąconą nogę. Panna Krzysia bywała tedy bita sumiennie, z pewną nawet nadwyżką za jej arystokratyczne manjery, stróż ten bowiem ponury i w swej rozpasanej namiętności bicia, nieposkromiony, zawsze sobie wtedy przypominał jakieś stare dzieje i twierdził, że zanim się Krzysia urodziła, mieszkał w „jego“ kamienicy jeden hołysz, ale bardzo przystojny, że matka jej świętej pamięci — posługiwała w jego mieszkaniu, a kiedy Krzysia na świat boży i na Solec przyszła, hołysz czemprędzej się wyprowadził. Nie jest to łatwem do zrozumienia, dlaczego za to wszystko stróż bił rodzone swoje dziecko. Pewnem było, że bił tak długo, że wbił Krzysi wiele do głowy roztropności i pewne części ciała jej wydelikacił i uczynił łaskotliwemi. Krzysia zwiała z Solca, jak zefir, a ponieważ wiał wiatr zachodni, więc ją poniósł w stronę Opery, gdzie do dziś pląsa na chwałę sztuki rodzimej.

Żywot jej, pełen przygód, został dlatego opowiedziany, aby wiadomem się stało, skąd w małej jej główce tyle było

roztropności i skąd się wzięła w jej sercu nieszczęsnem taka wielka potrzeba kochania. Panem Tulipanem pogardzała tak żywiołowo, jak pies żydowskim pogardza chałatem. Rujnowała go rafinowanie i z pasją; zanim Tulipan zdołał straty powetować na Giełdzie, furja ta piękna już mu na nowo poplątała bilanse. Taka ci była wielka duma i pycha w tej królewnej z Solca, że się Tulipan odnosił do niej ze strachem i z pokorą. A ona miała dla niego śmietankowe słodkie lody w sercu. Nic innego. Ujrzawszy zaś pana Pączka, jego niebywałą rycerskością zniewolona, uszczypnięta mocno parę razy w łydkę, nazwana „słodką Krzysiunią“, poczuła w sercu taki wielki napływ uczucia, taki ogrom rzewności, taką słodycz dobrego dziewczęcia, że zamiast tego szampana, który pije w tej chwili, napiłaby się na każde jego żądanie jodyny. Tak wielką jest moc świętej miłości!

Ze względu na obecność wielu gości, musiała tłamsić w sobie nagle zbudzoną namiętność i ukrywać jej żar w sercu tak, jak przekupki na Solcu ukrywają żarzące się węgle w żelaznym garnku, który, czasu srogiej zimy, trzymają ukryty pod spódnicą dla błogiego ciepła. Ale jak kiedy żelazne drzwiczki pieca nie są zamknięte, gdy potężnie w piecu napalono, przeto żar w nich bucha dokoła i krwawe światła wybiegają z nich daleko, tak z oczu panny Krzysi buchała namiętność i gorąco wspaniałe. Widziały to jej koleżanki i patrzyły na to z zachwyconym podziwem, widział to pan Tulipan i z tego upału zrobiło mu się zimno w duszy. A ona gorzała, jak pochodnia, jak szaleństwo, jak beczka ze smolą, jak rakieta, jak piec, w którym palą

wapno, jak wulkan, jak wdowa, co po dziesięciu latach znowu za mąż idzie. Od tych miłosnych upałów topiły się na stole piramidy lodów, w kolorową zmieniając się zupę, więdły majonezy, słaniały się osłabłe kwiaty, pot wystąpił na różowe ciało uśmiechniętego po śmierci prosięcia, ciepły się stawał szampan, tajały wreszcie serca. Wszystkim obecnym panienkom udzieliło się to podniecenie upalne, jakgdyby ogień padł na wióry. To też upał się uczynił bardzo wielki i panowie mieli wielką na twarzach czerwoność i krople potu na łysinach. Nikt się nie zdumiewa, jeśli na gorącej pustyni człowiek z północy rozdziewa się z szat; nikt też nie myślał się zdziwić, kiedy pannę Pietruszkównę tak rozebrało, że się zaczęła rozbierać.

Wielki i radosny podniósł się wrzask, kiedy gdzieś z pod stołu jakby rajski ptak wyfrunął nagle pod powałę i począł powoli opadać. To Hela Mara zdjęła z siebie to, co jest różowe jak obłok, jest czasem barchanowe, czasem jedwabne, ale zawsze i bez wyjątku parzyste i cisnęła tem w górę, na wiwat. Chciano to rozerwać w sztuki, na pamiątkę i na szczęście, jak sznurek wisielca, ale młody poeta, bardzo już pijany, porwał to w objęcia, do piersi przycisnął jak zdobyty sztandar i zaczął wyć wniebogłosy:

— Nie dam! nie dam! nie dam!

Potem w kącie tłomaczył pannie Heli:

— Helusiu! nie odbiraj, bo byś serca nie miała... Zostaw mi na otarcie łez...

— A do domu jak pójdę?

— Na co ci tego w domu? W domu masz pewnie inne...

— Pewnie, że mam...

— A po drodze to wygodniej nie mieć...

— Leszek, nie bądź świnia!

— Poeta jestem, nie świnia... Upiłem się, wstyd, że się upiłem, bo to za żydowskie pieniądze. Ale ci tego nie oddam...

— Warjat! Na co ci tego?

— Czy ja wiem? Krawat sobie z tego zrobię, albo na oknie zawieszę, jak będę miał mieszkanie, jako portjery... Dajżeż mi to, Helusiu!

— Puste?

— O, bachantko!

— No, no! Tylko bez poufałości! Oj, patrz, co Krzysia wyrabia!

Krzysia piła szampana wprost z butelki, poczem zarzuciła ramiona na zdumioną i szczęśliwą głowę pana Pączka i całowała go w usta. Pan Pączek był w miarę pijany, nigdy bowiem miary nie przekraczał, to też mimo wielkiej dumy z powodu takiego wyróżnienia, starał się uspokoić wzburzony ocean namiętności dziewiczej, bo nie wiedział, co ma z tem zrobić? Tymczasem, Krzysia, myśląc, że to, co dotąd uczyniła, to pewnie było za mało dla zdobycia wzajemności takiego, jak Pączek królewicza, piszcząc z radości, upojona niezwykłym swoim pomysłem, rozerwała kosztowną suknię ruchem Salome i ukazała światu nie byle co, jak Hela Mara, lecz rzecz nierównie wspanialszą, choć także parzystą — piersi.

Piorun uderzył w pana Pączka.

Salomon, który powiadał, że są to „dwa jelonki młode“

— ubogi był w porównania. Jelonek, to jednak za mało; nie mogą się z tem równać wszystkie najpłochliwsze i najpiękniejsze zwierzęta świata, ani kwiaty najwspanialsze. Wiedziała o tem panna Krzysia, bo gdyby arcydzieła te nie były godne widzenia, nie byłaby ich dobywała z ukrycia, albowiem kobieta nie wstydzi się tego, że zamordowała, że zdradziła, że najstraszliwszego dopuściła się grzechu. Wstydzi się jednak piersi brzydkich. I słusznie. Cóż znaczą tamte drobiazgi wobec tej sprawy.

Nie dziw przeto, że całe towarzystwo spojrzało, jak zaczarowane; wszyscy mieli cielęce miny nieodłączonych niemowląt.

A Krzysia krzyczała:

— Pączek! masz, bierz! To twoje...

— Ależ, panno Krzysiu!

Nagle ostry krzyk wpadł w sam środek szału:

— Krzysia! Schowaj to natychmiast!

To pan Tulipan wołał głosem głuchym, jak umarły, który się obudził w trumnie.

— Schowaj to natychmiast, powtarzam!

Słusznie powtarzał, gdyż rzecz była parzysta.

— Krysiu! Krysiu! — łagodziły sprawę niewiasty.

Ale Krysia wpadła w szał.

— Nie schowam, bo to moje i mam prawo robić, co mi się podoba! Moje, czy nie moje?

Najbardziej urżnięty gość nie mógł odmówić racji temu rozumowaniu. Pan Tulipan był już jednakże poza sferą rozsądku i dobrego wychowania.

Szukał tylko okazji, aby sponiewierać Pączka, słusznie

mniemając, że z panienką, co piła szampana wprost z butelki, trudno będzie dojść do porozumienia. Trudno jednak było o okazję, gdyż Pączek zachowywał się wcale wytwornie i sam zaczął namawiać Krzysię, by ukryła drogocenne skarby i umknęła je oczom pospólstwa, na bardziej prywatny chowając je użytek.

Krzysia byłaby je obcięła, gdyby Pączek tego chciał.

— Jak ty tak mówisz, to schowam, Feluś. Ale niech mi ten żyd jeszcze słowo powie, to zrzucam całą suknię. Trzeba schować?

— Trzeba, trzeba...

— No to daj jaką szpilkę, bo rozerwałam suknię.

— Szpilkę? Skąd ja pannie Krzysi... ach, mam!

Sięgnął do klapy fraka i wyjął szpilkę. Jak to się czasem szczęśliwie znachodzi rzecz niektórą.

— Ukłój przedtem, bo się pokłócimy! — szeptała na nowo rozmarzona Krzysia.

Pączek ukłół ją delikatnie w ramię. Tulipan zadrżał w srogiej duszy, patrząc na te dusery, których nie rozumiał.

— A teraz zepnij to szpilką! — mówiła Krzysia.

— Może sama?

— Co, boisz się tego Hamana?

— Kto, ja się boję? Proszę, gdzie spiąć?

Krzysia poddała piersi ku niemu, a kiedy się nad niemi pochylił, ucałowała go z wielkiem klaśnięciem w ucho.

W tej chwili usłyszał syk węża.

— Co pan tam majstruje, panie Pączek?

— Co mi się podoba, panie Tulipan. Nie widzi pan, że spinam szpilką suknię.

— Pan może ukłóć pannę Krzysię w piersi...

— Jak on to zrobi, to nie będzie bolato! — rzekła Krzysia.

— A ja sobie to wypraszam! — syknął Tulipan. — Pan nie przestanie?

— Nie!

— A ja panu mówię, weź pan tę szpilkę!

— Gadaj pan do szpilki, nie do mnie!

— Panie Pączek! Pan tu pije za moje pieniądze! Ja to panu zauważam: za moje pieniądze!

Pączek podniósł się nagle, jak raniony tygrys, wyrósł wspaniale, jak ciasto na drożdżach, jak ognisty słup przed żydami. Oblała go purpura krwi i on raczej wyglądał w tej chwili, jak płomienny tulipan.

— Do kogo pan to mówi?

— Do pana! Tu się chyba nikt inny nie nazywa tak śmiesznie: Pączek! Tu jest porządne towarzystwo...

— Wal go w pysk, Pączek! — zawyła Krzysia.

— Co takiego? co takiego? To ty, Krzysia z takim łobuzem... oj! — nie spodziewałem się...

— Albo nie! On tego nie wart. Pluń mu w jego majonez i chodź ze mną. Jak taki matoł nie pozwala uczciwej dziewczynie szpilki pożyczyć, to niech się udławi swoim fałszywym szampanem. Myślicie, że to francuski szampan? To taki francuski, jak on katolik. Kazał na węgierskie paskudztwo przyklejać francuskie etykiety.

— Krzysia! To kłam! — tupał nogami Tulipan.

— Chodź, Feluś, z tej knajpy!

— Ja go zabiję! — ryczał Pączek i chwycił za

prawdziwą butelkę z fałszywą marką.

Wyrwano mu ją z ręki i rozdzielono tygrysów. Kiedy towarzystwo dowiedziało się z ust wiarygodnych, że Tulipan jest świnia i robi szachrajstwa z winem, nie miało w głębi serca nic przeciwko temu, żeby sympatyczny Pączek pobił srodze zwiędłego Tulipana. Towarzyskie względy jednakże i wysoka rasa tych ludzi, umiały pogłębić swój żal serdeczny, więc kilku gości pętało w jednym kącie wściekłość Pączka, inni czynili to w drugim. Jeszcze chwila jednak, a rozpęta się wojna trzydziestoletnia. Było to tem bliższe prawdy, że ze dwa trupy leżały już pod stołem w krwi czerwonego wina. Ci już dawno polegli i walka namiętności nie obchodziła ich zupełnie.

Mniej pijani, przerażeni tem głęboko, że wzajemne pobicie się będzie stanowczo końcem uczty, czynili ruchy strategiczne bardzo przemyślne, aby bitwę zakończyć przed jej rozpoczęciem i nie popsować baterji butelek. Wypchnięto więc Pączka do przedpokoju, za nim zaś wypadła Krzysia. Nałożono na nich wśród zgiełku cudze futra.

Krzysia była jak furja, Pączek był blady, co rumianemu z natury pączkowi bynajmniej nie przystoi.

Trochę otrzeźwieli, ale niebardzo.

— Pojedź do mnie, Feluś, — mówiła Krzysia, a każde jej słowo było nalane namiętnością, jak złoty puhar czerwienią wina, — bo cię kocham, a temu żydowi, to ja jeszcze pokażę. Ja mu dziś zrobię imieniny! Moje piersi, czy nie moje? Słyszał kto kiedy co podobnego? Taki gudłaj! I o co mu poszło? O szpilkę!

Pan Pączek w całym tym rozgardjaszu nie uronił tej szpilki nieszczęsnej, co wywołała wojnę. Trzymał ją teraz w palcach i patrzył na nią ponuro. Nie mógł dobrze pojąć, czy jest tak bardzo pijany, czy też szpilka patrzy mu naprawdę w oczy i uśmiecha się drwiąco.

Więc ją czemprędzej z jakąś pasją wbił w klapę fraka.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Kornel Makuszyński.*

ROZDZIAŁ CZWARTY,

W KTÓRYM CIĘŻKA CHMURA ZDARZEŃ, NAKŁÓTA SZPILKĄ, WYPUSZCZA Z SIEBIE OGNISTY PIORUN NIESZCZĘŚCIA.

Spłonąłby wszelki papier, gdyby na nim opisać furję zemsty panny Krzysi nad sponiewieranym Tulipanem. Zanim się dokonała, wzięła panna Krzysia jego wielką fotografję z napisem: „Mojej królowej — paź, Stanisław“, domalowała mu czerwonym ołówkiem do barwienia ust wielkie wąsy, pilnikiem wydłóbała mu oczy, poczem rozdarłszy go w okolicy brzucha, cisnęła to wszystko razem w piec.

Tulipan umarł w pogardzie, taki bowiem jest los bogaczów. Za to Pączek został wyniesiony na szczyty szczęśliwości ziemskiej, największą zaś mu to sprawiało radość, że się to wszystko działo w pyjamie pana Tulipana. O, gdybyś to był widział, Tulipanie, pomieszałby ci się twój wielki rozum, pękłoby twoje zahartowane serce.

Tulipan jednak tego nie widział, tylko przeczuwał, a choć widzenie oczyma duszy sprawia już wiele boleści, prawdziwą boleść odczuł Tulipan, kiedy szpiegując koło domu panny Krzysi, ujrzał wychodzącego zeń nazajutrz uśmiechniętego Pączka, kiedy go ujrzał już na własne oczy, które mu w tejże chwili zalała wściekłość tak wielka, że równej nie było na całej ulicy, choć już było na niej rojno,

bo to było około jedenastej.

Pączek nie spostrzegł Tulipana, albowiem pocałunkami posyłanemi ręką, żegnał się z panną Krzysią, stojącą w oknie. Człowiek, w niebo patrzący, nie widzi mizernych tulipanów pod nogami. Musiała go jednak dojrzeć panienka, bo nagle wywaliła język w srogim ataku pogardy. Zdumiał się pan Pączek, nie rozumiejąc, co by ten kares miał znaczyć, ponieważ jednak znał niezbadaną naturę kobiety, uśmiechnął się raz jeszcze i poszedł do domu, spać.

Układając się do snu, uśmiechał się wciąż, gdyż go wszystko bawiło, i to, że będzie spał w biały dzień i to, że się ma żenić za niewiele dni i to, że znalazł głupią szpilkę i przez tę szpilkę omal, że do krwawej nie doszło awantury. Bez tej szpilki jednakże i bez tej awantury nie przeżyłby chwil wcale miłych. Nie miał tedy do tej szpilki żalu, nawet przeciwnie, miał dla tego zgubionego biedactwa uczucia przyjaźne. O małej rance, przez nią zadanej, dawno już zapomniał. Wino nie takie goi rany...

Wyjął szpilkę z klapy fraka i przyjrzał się jej pilnie. Zwyczajna szpilka, mizerna, biedna szpileczka. Ha! a jednak nie zwyczajna: w błysku jej czarnej główki było przecież coś zabawnego, jak czasem zabawnem jest spojrzenie.

— Do kogo ona należy? — rozmyślał Pączek, — zapewne do kobiety. Znalazłem ją u wejścia do gabinetu, więc kobieta musiała być piękna, brzydkich bowiem nikt nie zaprasza do gabinetu, tylko na wentę, albo na cmentarz. Musiała należeć do kobiety wesołej, lecz do kobiety albo przewidującej bardzo, albo o złem sercu. Dlaczego? Jeśli to

była dama przewidująca, wyjęła ją z sukni i porzuciła w przedpokoju, aby nie uczynić przez zadrapanie krzywdy, jakiejś kochanej głowie, która się ułoży zapewne na jej piersi. Przewidujące kobiety nie mają dlatego przy sobie nigdy nic ostrego, dlatego nie noszą z sobą nawet dowcipu. — Jeśli zaś była to kobieta o sercu twardem, postąpiła ona z tą biedną szpileczką, jak zła matka, co się brzydkiego wstydzi dziecka. Weszła między ludzi z brylantami i ze złotem, a to szare biedactwo porzuciła na zgubę i poniewierkę.

Dobre serce pana Pączka rozczuliło się tą szpilką, tak biedną i tak sierocą. Uśmiechnął się do niej i postanowił ją zawsze mieć przy sobie, mniemał bowiem słusznie, że drobiazg ten jednak przynosi mu szczęście, pewnie z wdzięczności za to, że się nim zaopiekował. Ukrył ją więc w portfelu, wpiąwszy ją w fotografję panny Słoneczko, z którą się nigdy nie rozstawał.

Mieszało mu się nieco w znużonej i cokolwiek huczącej głowie, kiedy zasypiał; to szpilka, to panna Słoneczko zjawiały się jego oczom, w których wzrok zamierał. A kiedy zasnął, wzdrygał się czasem i nagle podskakiwał na łożu, zdawało mu się bowiem, że go ktoś tą szpilką wciąż ekscytuje, wnet jednak zjawiała się panna, promienna i różowa i gładziła dłonią łagodnie miejsce obolałe, zlekka tylko się rumieniąc i wstydliwie odwracając oczy, jeśli złośliwa szpilka ukłóła go w miejsce, od wieków panny cnotliwe wstydem i wzruszeniem napełniające.

Powikłały się jednak senne marzenia, bo oto po chwili pan Pączek wzdrygnął się przez sen i głucho jęknął,

zdawało mu się bowiem, że panna Słoneczko nagle chmurą nakryła swoją promienną twarz i ująwszy szpilkę w delikatne palce, najwyraźniej zmierza z nią do jego prawego oka, chcąc je wydłóbać. Kiedy pan Pączek silnie zacisnął powiekę, skierowała szpilkę ku lewemu z niewyraźną uwagą, że jej właściwie mało na tem zależy, czy to będzie oko prawe, czy lewe. Chciał senny pan Pączek wołać Krzysi na pomoc i pewnie krzyknął, wołając jej z głębi serca, bo oto nadchodzi. Pan Pączek słyszy najwyraźniej dzwonek u drzwi, nerwowo terkocący. Usłyszeć go musiała i panna Słoneczko, bo, żwawiej jeszcze jęła się krzątać i nie mogąc się dobrać do oczu, nagle chwyciła go za głowę silnemi rękoma i jednym zamachem wbiła mu szpilkę w tył głowy. Lodowate zimno wstrząsnęło panem Pączkiem, uczuł przeszywający, ostry ból we łbie i porwał się z krzykiem na równe nogi.

Obok 16żka stał służący, szczerze zdziwiony nieco obłąkanym i pełnym ruchu snem swego pana.

— Co się stało? — jęknął Pączek.

— Nic!

— Czy kto dzwonił?

— Właśnie przed chwilą. Przynieśli list.

—I po to mnie Franciszek budził?

— Ja jaśnie pana nie budziłem. To jaśnie pan robił przez sen taki harmider, że mógłby zbudzić umarłego.

— Niech Franciszek nie bredzi. Od kogo list?

— Od panny Słoneczko...

— Nie może być!

— Może być, bo jest.

— List?

— Przecie nie fortepian. Kazali pokwitować, bo to jakiś ważny list. Mówiłem, że pan chory.

— Dobrze Franciszek powiedział.

— A pan się pewnie schlal...

— Idź do djabła!

Pan Pączek nierwowo i skwapliwie otwierał list swojego Słoneczka. Jak gejzer islandzki, kiedy mu mydlin w szeroką gardziel wleją, nagle wybucha, tak dotknięcie tego listu pobudziło w nim uśpione i winem zalane sumienie, że wybuchło i wyć zaczęło. Przeczuwał nieszczęście i zadrżał w głębi ducha. Panna Słoneczko mogła bowiem nawet zgrzeszyć, wszystko najgorsze mogło się zdarzyć tej duszy czułej i litewskiej, jednakże trzeba było czegoś ponad ludzką miarę, aby ją zmusić do napisania listu, list bowiem jako wynalazek nowoczesny, pachniał trochę djabłem, poza tem w rodzinie Słoneczków, tysiąc siedemdziesiąt pięć lat istniejącej, przez lat tysiąc nikt nie umiał pisać, a przez lat siedemdziesiąt pięć każdy bał się pisać, w pisanem bowiem zawsze jakowaś mogła być podrywka.

Wiedział o tem pan Pączek i słusznie drżał duchem.

Kiedy on spał w barłogu, zmęczony rozkosznem zmęczeniem, coś się musiało stać. Ale co? ale co? Pan Pączek nie przywykł do niepowodzeń. Szczęście mu służyło na dwóch łapach i patrzyło mu w oczy, jakby pytając bez słowa, czy pan Pączek jeszcze czegoś tam nie zapragnie z rozkoszy żywota? Ha! Czego chce ten list?

List ten najwyraźniej miał minę ponurą. Każdy list ma swoją twarz, swoją minę, swój wyraz i swój uśmiech.

Odrazu poznasz list od kochanki, bo i marka jest różowa i pieczęć pocztowa machnięta z fantazją i zakrętas figlarny jest w adresie i w rogu koperty, niewiadomo po co, zawsze jest dopisek: pilne! List miłosny od żyda, pełen wyrazów czułych, smakowitych, pełnych jednakże powagi, brodaty i zamyślony, list kończący się niezmiennie frazesem potężnym: „w przeciwnym razie zmuszony będę zrobić Panu nieprzyjemność i zafantować jego szanowne meble...“ — poznasz również zdaleka po zapachu mocno cebulastym z odrobiną zapachu śledzia. Poznasz list z banku, sztywny, w zielonej kopercie, w której się wije z bólu i cicho w niej szlocha zaprotestowany weksel.

Na liście panny Słoneczko była najwyraźniej żałoba. Wiało od niego chłodem i śmiercią. Był blady ze wzruszenia, źle zalepiony rękoma, które drżały. Na adresie nie było żadnego figlarnego zakrętasa, które wije z atramentu serce zakochane. Coś przeraźliwego, jak z otwartej katakumby, wionęło ze środka, kiedy go pan Pączek rozpostarł. Słowa uszeregowały się niechętnie w długie linijki i patrzyły na przerażonego pana Pączka z wyraźnem lekceważeniem; chcąc mu widocznie przykrość uczynić, złamały nagle szyk i poczęły mu skakać przed oczyma, aby ich nie mógł złowić. Zbierał je oczyma, jak kuropatwy płochliwe na polu i połykał każdy wyraz z trudem, a każdy przy połknięciu przypominał mu ość, najzłośliwszą ość rybią — karasia.

List panny Słoneczko powiadał stylem chudym i pozbawionym wszelkich ozdób:

„Dowiedziałam się w tej chwili, że Pan, nie zważając na

to, że za dni sześć ma Pan stanąć ze mną na kobiercu ślubnym przed ołtarzem, gubi swoją duszę i sumienie w gabinetach z aktorkami i baletnicami. Musiał Pan całe życie tak przepędzać, jeśli się Pan nie mógł wstrzymać przed tem, aby się stać godnym czystej dziewicy i pewnie chciałby Pan po ślubie dalej takie życie prowadzić. Bóg czuwał jednakże nad niewinnością i pozwolił w swojej wspaniałomyślności, abym się o tem dowiedziała. To też przeklinam Pana i ze swego serca precz wypędzam. Niech Pana za moje łzy Pan Bóg ciężko nie pokarze. Odsyłam Panu pierścionek. Niech go Pan da tej swojej kochanicy, której Pan wczoraj ofiarował złotą szpilkę z brylantem, że ogólne oburzenie zapanowało w mieście, tak, że wszyscy o tem mówią. Nie chcę Pana widzieć na oczy, które są łzami zalane, nie z żalu za Panem, bo takich można znaleść na kopy, tylko dlatego, że już niema uczciwych ludzi na świecie, bo albo fanfaron, albo swołocz, co panny nie uszanuje...“

Świat się zakręcił z panem Pączkiem, jakby nagle oszalał i zachciało mu się krążyć dla odmiany w stronę przeciwną. Pierścionek leżał na dywanie, jak niepotrzebny kawałek metalu z zapłakanem okiem brylantu. W duszy pana Pączka zawalił się nagle z wielkim trzaskiem jakiś ogromny gmach, w którym była i sypialnia małżeńska i żelazna kasa. Rumowisko to przywaliło mu serce, które zaczęło płakać rzewnie, jak wyrzucone na mróz niemowlę. Owiła je dookoła żmija rozpaczy i zwątpienia.

Po raz pierwszy w życiu pan Pączek zwątpił o szczęściu.

Ludzie jednakże wysokiego gatunku tę mają właściwość, że szybko wracają do równowagi i chwyciwszy węża za

łeb, urywają go. Mózg pana Pączka stał się nagle zimny, jak lód. Cóż pomoże narzekanie? Zagasło Słoneczko... Spokojnie! spokojnie, panie Pączek! Rozumujmy ściśle, powoli, z rozwagą. Dlaczego zagasło? Dlaczego w dwóch sercach jest w tej chwili noc ponura i zimna, ciemność rozpaczy? Dlatego, że ktoś dmuchnął w Słoneczko, ktoś je wtrącił w przepaść bólu i żalu. Ktoś doniósł pannie Słoneczko, że jej narzeczony wczoraj szalał. Ktoś uczynił straszną rzecz, łajdactwo, jednem słowem. Ale kto? Powoli, panie Pączek! spokojnie, spokojnie... Dowiemy się, z pewnością się dowiemy.

Uczynił to ktoś, komu na tem zależało. Słusznie! Tylko spokojnie.

Uczynił to ktoś, kto wiedział, że jeśli doniesie o tem pannie Słoneczko, ten pchnie sztylet w serce Pączka... To jasne...

Uczynił to ktoś, co wszystko widział i o wszystkiem wiedział. Z pewnością, z pewnością... Ale nie!... Jest jeden szczegół skłamany. Gabinet, — to prawda; aktorki i baletnice, — prawda. Niema co, głupi tylko zaprzeczy. Ale kto to widział, kto był przy tem, kto może zaświadczyć, że pan Pączek ofiarował „swojej kochanicy“ szpilkę z brylantem?! To kłamstwo! Jakie to szczęście, że on tę marną szpileczkę z czarną główką, znalezioną szpilkę zachował i ma ją teraz w portfelu. Tę szpilkę ofiarował, żadnej innej nie miał. Widocznie więc ktoś z nieobecnych na uczcie usłyszał o całej awanturze, bo aktorki niczego nie zatają i zrobił z igły widły, z głupstwa szpilkę z brylantem.

Ależ spokojnie! spokojnie, panie Pączek! To się

wszystko wyjaśni...

Pan Pączek usiadł na gruzach swojego szczęścia i począł rozmyślać. Gdyby wynalazca myślał tak długo i tak przenikliwie, wymyśliłby nowe słońce. Mózg jego pracował, jak maszyna parowa. Myśl jego biegała po wielkiem polu życia, jak błyskawica po chmurach, albo jak ogar za zającem. W duszy jego był wir, w sercu awantura, a w żółci rodziła się żółta zemsta. Srodze zapłaci za to, ten, co to uczynił. Pan Pączek stwardniał w pragnieniu zemsty na głaz. O, gdybyś mógł wejrzeć w jego serce, nie słodycz byś tam ujrzał, lecz krew zapiekłą i wściekłą. Bo już mu nie szło o prawdę, — trudno, — lecz tej złotej szpilki z brylantem nie podaruje. Cios to był okropny i niezawodny. Donosiciel musi to być człowiek chytrości niezmiernej, wiedział bowiem, że słodyczy pełna Litwinka ostatecznie daruje mu kochankę, bo i Litwini, po ludzku podobno się rozmnażający, rozumieć muszą, że człowiek czasem musi... Panna Słoneczko była mądra... To by ją cokolwiek dotknęło, ale znów nie tak bardzo. Miło jest zresztą dowiedzieć się przed ślubem, że przyszły mąż ma krew, nie wodę. Ha! Donosiciel wiedział o tem. Wiedział jednak i o tem, że szaleństwo rozpęta w dziewicy, donosząc jej kłamliwie o złotej szpilce z brylantem, o marnotrawstwie i rozrzutności. Tego uczciwa i szczera dusza litewska znieść by nie mogła. To ją musiało napełnić goryczą.

— Krwi! krwi! — krzyknął pan Pączek i począł bić głową o ścianę.

Nieco muru osypało się z cichym szelestem.

Nagle wszystka krew krzyknęła w nim wściekle;

wszystkie myśli, furcząc jak spłoszone ptaki, krzyknęły w nim; serce zawyło wielkim głosem; huknęła dusza, aże mało nie rozsadziła mu piersi; zabulgotała w nim żółć; oczy nawet krzyknęły blaskiem wściekłym i zaczerwienionym; wszystko, co było panem Pączkiem, nagle, jakby biczem błyskawicy podcięte, krzyknęło tak, że mury zadrżały:

— To Tulipan!

— Tulipan! — zawyło echo.

— To Tulipan! — trzasnęła szafa i zaskrzypiał fotel.

Wszystko żywe i nieżywe pełne byto tego imienia, wszystko zachłyśnięte było pragnieniem zemsty.

Pan Pączek chwycił widmo tego imienia za gardło i dławił je silnie pazurami, całym wysiłkiem i wściekłością, aż jęcząc, wyślizgnęło mu się z rąk, jak plugawy piskorz.

Tego jednak było za mało: za hańbę pana Pączka, za stracone złudzenia, za wielką miłość zdruzgotaną, za stracony wielki majątek, który Litwiny składały przez setki lat, za ból i krzywdę, za wszystko szlachetne, wielkie i piękne, co nagle runęło, zapadło się i przepadło, — kara śmierci byłaby zaledwie maleńką karą. Dobre i poczciwe z natury serce pana Pączka wyło w nim w tej chwili, jakby obdzierane ze skóry. Niemasz w nim już dobroci, ani litości! Pan Pączek, oczy straszliwie przymrużywszy, poił się wściekłością, jak trucizną i bez drgnienia zdzierał Tulipanowi paznokcie z palców, wykręcał mu korkociągiem oczy, wielkie uszy rzucał na pożarcie psom, płatał mu brzuch, jak szczupakowi, a z trzewi kręcił powróż, aby na nim powiesić tulipanowego trupa. O, gdyby to mógł uczynić! Z dzikiej radości serce zaśmiało się w nim nagle

skowytem, jak czasem śmieje się pies. Ha!

Wszystko stracone, stracone, stracone...

Gdzie jesteś, Słoneczko jasne? Niema już ciebie, och, niema...

Gdzie ślub, a parada, a Veni Creator, a powozy, jedwabiem wykładane, podróż poślubna, noce, pełne upojeń, a dni, pełne wesela? Wszystko zwalił Tulipan w proch...

Stanisław, syn Abrahama Tulipan poniesie karę.

Pan Pączek, w tej chwili głupio Feliksem się mianujący, już mu ją obmyśli...

Właśnie myśli.

Zabić Tulipana? Och, z jakąby to uczynił rozkoszą! To się jednak nie da zrobić. Za zabicie Tulipana zamkną na długie lata pana Pączka, a to nie jest równomierne. Zrujnować go? Niemożliwe. To bydlę jest przerażliwie bogate. Ochrzcić go, kiedy będzie spał? Także na nic, bo Tulipan już jest chrześcijaninem. Odbić mu kochankę? Na nic. To już zrobione i stąd cała awantura. Trzeba by go prześladować przez całe życie, chytrze, przemyślnie, sposobem Monte Christa; sprawić, aby cukier wydał mu się gorzki, a woda zatruta, aby osiwiał każdej bezsennej nocy na nowo. Tak, toby było dobrze, trwałoby jednak za długo, życie zaś pana Pączka jest nieco więcej warte, niż by je marnować dla takiego złodzieja.

Im dłużej rozmyślał pan Pączek, tem dokładniej w chaosie myśli przybierała kształty trwalsze, myśl jedna, pełna mściwej żądzy, spragniona zemsty natychmiastowej; po długiej rozmowie z duszą, po tajemnej konferencji z

sercem, pan Pączek wygłosił sam sobie, meblom i światu wyrok krótki, lecz dreszczem przejmujący:

— Poprostu dam mu w pysk!

Na jeden moment zmartwiało wszystko w naturze i znieruchomiało. Trzasnęła z radości szafa, zaskrzypiało biurko; lampy cichutko dźwięknęły.

Pan Pączek uczuł napływ jakichś wielkich mocy i poczuł, że jest gotowy do dzieła.

— Po staremu, dam mu w pysk i wyjadę...

— A Krzysia? — wtrąciło cichutko serce.

— Niech ją wszyscy djabli, to przez nią wszystko. Wyjeżdżam natychmiast...

Ciotka lada dzień wyciągnie kopyta! — wtrącił rozum.

— Tak, to jedno jest nieprzyjemne — odrzekł pan Pączek, spadkobierca, — należałoby pilnować, ale przecież wrócę. Trzeba tylko wstyd zjeść gdzieindziej, aby ci w Warszawie nie powiedzieli: „smacznego!“

— Racja! — potwierdził rozum.

— Więc chodźmy bić! — zatrąbiła dzielna dusza, bo niedługo już wieczór.

— Chodźmy! krzyknął Pączek.

Poczem, zawoławszy służącego, kazał mu przygotować wszystko do drogi na jakiś miesiąc. Wyjeżdża wieczorem. Paszport gotowy, wizy gotowe, — ten przynajmniej ze wszystkiego zysk; pieniądze przygotowane; wszystko jedno, dokąd pojedzie, najlepiej będzie — do Paryża.

Po upływie pół godziny pan Pączek dowiedział się za pośrednictwem służącego, przez telefon, że Tulipan jest u siebie w domu.

— Zamiast w kryminale! — pomyślał z goryczą.

Obije więc Tulipana w jego własnym domu. O, zemsto!

Bystry rozum pana Pączka rozpoczął z nim szybki djalog:

— Tulipan jest mocny, trzeba się mieć na baczności!

— Wezmę kij! — odrzekł Pączek.

— Mało!

— Więc co wziąć?

— Rewolwer nigdy nie zawodzi. Nie potrzeba strzelać, broń Boże, ale tylko pokazać w razie czego i nastraszyć.

— Można, można...

Wśród rupieci w szufladzie biurka znalazł Pączek rewolwer, z którym nigdy nic nie miał do czynienia. Człowiek szczęśliwy strzela z serca, nie z rewolweru. Był to mały browning, nabity. Pan Pączek ostrożnie, daleko dłoń wyciągając, mierzył w stronę szafy, która nagle jakby się skurczyła. Mechanizm jednak nie działał, gdyż bezpiecznik był zamknięty. Próbował go pan Pączek odsunąć, lecz widocznie rdza na zaniedbanym browningu stanowiła zaporę; trzeba ją usunąć. Czem? Ach, prawda! Wyjął z portfelu szpilkę, przyjrzał się jej raz jeszcze ze smutnym uśmiechem i ostrym jej końcem usunął jakąś małą zawadę; tylko szpilkę można było wsunąć w maluteńką szparkę.

Wpiął szpilkę w ubranie, browning schował do kieszeni i poszedł do pana Tulipana.

Otworzył mu sam Tulipan, widocznie nikogo nie było w domu, co bystrego pana Pączka odrazu napełniło niejaką radością. Widział go tylko stróż, który mu wskazywał

drogę, poza tem ani żywa dusza. Obicie pana Tulipana będzie przeto dziełem łatwem i odbędzie się bez zbytnich przeszkód.

Pan Tulipan najwyraźniej zbladł. Odrazu jednak się opanował i uśmiechnął się ironicznie.

— Pan Pączek? Oj, co za zaszczyt. Pan do mnie?

— Do pana.

— Może pan miał interes do kantoru?

— Nie, chciałem się zobaczyć osobiście z panem.

— Czy to takie pilne?

— Tak, bardzo pilne, gdyż dziś wieczorem wyjeżdżam.

Pan Tulipan spojrzał na niego niemal z wdzięcznością; jeżeli Pączek wyjeżdża, interes z Krzysią jest do odrobienia.

Uczynił mu miejsce w drzwiach i wprowadził do gabinetu; pożałował tego natychmiast, kiedy w świetle wielu lamp ujrzał pana Pączkowe oblicze. Była na niem chmura gniewu i łuna krwawej zemsty. Stropił się Tulipan i zaszedł ostrożnie poza wielkie biurko, — niby bawiąc się, wziął do ręki ciężki przycisk.

— Uwaga! — syknął bystry rozum Pączka.

— Widzę! — odburknął Pączek.

— Może pan usiądzie, panie Pączek, — rzekł z fałszywym uśmiechem Tulipan, — pan musi być zmęczony...

— Dlaczego?

— Bo pan wczoraj trochę za dużo pił... Z tego powodu nawet przemówiliśmy się... Mnie bardzo przykro...

— Z tego powodu nie jestem zmęczony, miałem inny

powód, bardziej męczący... Panna Krzysia...

— Panie Pączek! Ja sobie wypraszam, aby mnie pan obrażał w moim domu. Co to jest? Napaść? Ja tu pana wpuściłem, aby pan nie myślał, że ktoś, co się nazywa Stanisław Tulipan, boi się pana Pączka. Oto, co miałem panu do wyrażenia. Skończyłem. Jeśli pan ma do mnie interes, to pan mów, a jak pan nie ma interesu, to ja panu wyrażę zdumienie, po co pan tu zjawia swoją obecność?

Pan Tulipan mówił wzniośle i z godnością.

Pan Pączek uśmiechał się kwaśnym, na lewo wykrzywionym uśmiechem.

— Spokojnie, panie Tulipan, spokojnie... Ja przyszedłem, aby pana o coś zapytać.

— Nie jestem obowiązany zaspakajać pańskie zapytania.

— To jeszcze zobaczymy, — rzekł Pączek i postąpił dwa kroki.

— Proszę się do mnie nie zbliżać! — krzyknął Tulipan.

— Dobrze! Na wszystko będzie czas. Panie Tulipan!

— Nu, co jest z tem „panie Tulipan?“ Co pan wyrabia takie miny, jak prokurator?

— Panie Tulipan! Co to jest? Niech mi pan natychmiast odpowie, co to jest?

Pan Pączek wyjął szpilkę z ubrania i trzymał ją w palcach, wysoko, w pobliżu lampy.

— Pan, panie Pączek, musi być jeszcze trochę zalany. Widzi pan teraz, ile pan pił...

— Pytam, co to jest?

— Co ma być? Szpilka...

— Złota?

Pan Tulipan drgnął.

— Jaka złota? Pan się o to przyszedł pytać?

— Z brylantem?

Pan Tulipan drgnął po raz drugi. Wszystko się odkryło.

— Co za pytanie! — rzekł zataczając każdem słowem, — gdzie tu jest brylant? Mnie wogóle zdumiewa...

— Więc nie jest złota, nie jest z brylantem. Jest to mizerna szpilka, tuzin za grosz. Pan dobrze widział, że tą szpilką chciałem spiąć suknię panny Krystyny... I teraz pytam pana: dlaczegoś, podły łajdaku, doniósł pannie Słoneczko...

— Na pomoc! — krzyknął Tulipan i położył rękę na aparacie telefonu.

Ale śmigły, jak tygrys, pan Pączek już wpiął szpilkę w klapę i już chwycił za rękę Tulipanową.

— Teraz za to dostaniesz po pysku! — szepnął straszliwym śmiertelnym szeptem pan Pączek.

Zanim jednak zdołał wykonać groźbę swoją okropną, sto świeczek zobaczył w oczach: pan Tulipan cisnął w niego aparatem telefonu. Gdyby nie twarda czaszka, pan Pączek leciałby, przez aniołów niesiony, do starych Pączków, w niebie na niego czekających.

Zawyło w nim serce, krew mu zalała oczy. Nie wiedząc, co czyni, ruchem szybkim wydobył rewolwer. Ujrzał przerażone oczy Tulipana, a sam zamknął oczy i strzelił w stronę, gdzie przed chwilą stał Tulipan.

Zdawało mu się, że się niebo zawaliło z łoskotem.

Spojrzał: Tulipana nie było.

— Jezus, Marja! — szepnął Pączek, — zabiłem go!

— Jestem zabity! — wypełznął cichy głos z pod biurka.

Zapach prochu i jeszcze jakiś inny napełnił gabinet. Czyżby się Tulipan już rozkładał?

Pan Pączek na poły obłąkany, uciekał.

Ostatnim wysiłkiem inteligencji, pomyślał morderca, że należy zamknąć drzwi jak można najciszej.

A potem uciekać, uciekać, uciekać.

Więc pan Pączek uciekał.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Kornel Makuszyński.*

ROZDZIAŁ PIĄTY,

W KTÓRYM MORDERCA UCIEKA PRZEZ GÓRY I LASY.

Pan Pączek biegł przed siebie, a za nim gnały Erynje.

Uciekał z celem, ściśle określonym: na koniec świata. Nie wiedział dokładnie, gdzie to jest, wiedział jednak to jedno, że to pewnie bardzo daleko.

Zdawało mu się, że po każdym kroku zapada się pod nim ziemia, a on leci w przepaść, w jakieś niezgłębione lochy więzienne. W sercu miał lodowaty strach, a w głowie ogień; kombinacja ta mało sprzyja prawidłowemu myśleniu, to też myśli pana Pączka podobne były gromadzie warjatów, po podwórcu zakładu pląsających i skaczących dziwacznie, sposobem zwarjowanym szachowych koni.

Powoli jednak, szczątkiem myśli zauważył pan Pączek, że w naturze jego odbywa się jakaś przemiana ducha, że jakieś wielkie i zasadnicze zachodzą zmiany w jego wnętrzu. Ktoś się podał do dymisji, ktoś, kto strzelił, kto dosłownie „strzelił“ głupstwo, a ktoś inny zostaje ministrem i odrazu nowe zaprowadza porządki. Stary duch pana Pączka, strwożony, rozpłakany i rozjęczany, zapadł się i został pogrzebiony w dziwnym grobie: w pięcie, a zjawił się duch nowy, bystry, ze świeżą zdolnością myślenia. Odszedł duch cywilizowany, gładki i układny, ale bezsilny, a wstawał duch przezorny, ostry, przenikliwy i ostrożny, jak zwierz, na którego polują. To zbrodnicza dusza, zawsze w

człowieku czekająca sposobności, uradowana, że się może zjawić, rozpoczynała funkcję. Bez tego byłby pan Pączek zginął. Pierwszy z brzegu policjant byłby zauważył, że coś dziwnego dzieje się z tym człowiekiem bladym, zadyszanym, wymachującym rękami, lub ściskającym kurczowo rewolwer w kieszeni futra. Wtedy byłby pan Pączek nigdy nie doszedł na koniec świata.

Nowy duch położył jednak na nim swoją rękę i począł nim kierować, jak kieruje matka niemowlęciem, albo doświadczony woźnica koniem oszalałym.

Wnętrze pana Pączka wydawało polecenia krótkie:

— Przedewszystkiem powoli! Ludzie patrzą...

Pączek, jak manekin, lub jak pajac ze sprężyną, spełnił natychmiast polecenie.

— Baczność! — wołał duch, — policjant!

W Pączku coś dech zaparło.

— Przejdź powoli, wywijaj laską, uśmiechnij się. Możesz gwizdać?

Pączek złożył usta bardzo śmiesznie, ale nie mógł wydobyć głosu.

— Więc tylko uśmiech. Dobrze! naprzód!

Pączek napełnił się jakąś nieprawdopodobną chytrością. Spojrzał policjantowi prosto w oczy i uśmiechnął się, jak nieboszczyk do znajomego nieboszczyka, z którym razem o północy tańczą. Policjant uśmiechnął się również.

— Brawo! — szepnął duch zbrodniczy w panu Pączku. — Doskonale!

— To z kinematografu! — pomyślał Pączek. — Studjowałem...

— A teraz w lewo, w zaułek... Odwróć się! Stań przed wystawą i udawaj, że ją pilnie oglądasz. Znajomy idzie...

Pączek spełnił polecenie z precyzją. Duch zbrodniczy długo nic nie mówił; dopiero, kiedy jego właściciel znalazł się w ciemnym zaułku, rozmowa stała się szybka.

— Widzisz?

— Widzę... Krata, zakrywająca otwór do kanału.

— Browning!

— Rozumiem!... gotowe...

Obejrzawszy się, pan Pączek zręcznie wsunął rewolwer między kraty i usłyszał, jak głucho uderzył o dno.

Odetchnął. To już zawsze coś.

Sam był sobą zdumiony, zbyt jednak mądry to był człowiek, aby nie wiedzieć, że to wszystko to tylko półśrodki, doraźne sposoby zabezpieczenia się na niedługie chwile. Jutro zbrodnia zostanie odkryta z pewnością, ale z równą pewnością może być odkryta jeszcze dziś. Trupa Tulipana z przestrzeloną głową znajdzie dziś w nocy jego służba. Może też być, że łomot strzału zaniepokoił sąsiadów i w kilka chwil po jego ucieczce już tam była policja, może już przesłuchano stróża, już znają jego rysopis, a potem nie będzie trudno, szczególnie po wczorajszej awanturze, dojść po nitce do Pączka.

Poderwał się pan Pączek, jak zając, i zaczął biec truchtem.

Dobiegł do domu i przystanął za najbliższym węgłem, rozpatrując pilnie, czy przed domem niema policji. Przed domem niema, ale może być w domu, jakaż by to bowiem była policja, która zdaleka, jak szyld, ostrzega zbrodniarza,

stając przed jego domem. Okna są wprawdzie ciemne, ale to niczego nie dowodzi. Och! pewnie czatują na schodach, jak rysie na ofiarę, albo natychmiast po otwarciu drzwi, padną na niego z dwóch stron dwie pary ciężkich rąk.

Pan Pączek pomyślał chwilę i chyłkiem wszedł do najbliższej apteki. Zatelefonuję do siebie, dowie się czegóś od Franciszka. Cóż to jest? Mózg mu się wywrócił, czy co? Nie mógł sobie przypomnieć numeru swojego telefonu. Ach, wreszcie!

— Proszę numer ten i ten...

— Łączę!

Pan Pączek zmienił się cały w ucho. Ktoś zdejmuje słuchawkę z widełek.

— Hallo! — mówi jakiś energiczny głos.

— Policja! — myśli Pączek i pyta głosem zmienionym: — Kto przy telefonie?

— Tu firma Stanisław Tulipan i Spółka. Kto mówi?

Pan Pączek jęknął, cisnął słuchawkę i uciekł.

Co to jest, na Boga? Jakiś piekielny żart, czy traficzna pomyłka? Czy zamordowany łączył te telefony?

Furje wybuchnęły śmiechem. Pączek miał w mózgu cyfry telefonu Tulipana, kiedy przed niedawnym czasem telefonował Franciszek z zapytaniem, czy Tulipan jest w domu? Ale pan Pączek tego nie wiedział, więc go nowy opadł strach i odjął mu bystrość myślenia. Trzeba było dłuższego czasu, by nowy, czujny, ścigany jego duch rozpoczął znów myśleć bystrze.

Uradził więc ze swoim panem, że należy nieco zaryzykować. Pan Pączek nie wróci już do domu; ma przy

sobie pieniądze i dokumenty, poza sobą ma policję. Należy, zachowując niebywałe ostrożności, ostentacyjnie kupić bilet do Wilna, równocześnie zaś przez posłańca kupić inny bilet w przeciwnym kierunku i z tym biletem wsiąść do pociągu już w chwili, kiedy będzie ruszał.

Rzecz została wykonana dokładnie.

W chwili, kiedy pociąg, idący ku granicy niemieckiej, westchnął i począł pełzać, pan Pączek, sto par oczu w tej chwili mający, z przodu, na czole, na końcach palców i z tyłu, na czaszce, na plecach i na kapeluszu i patrzący odrazu wszystkiemi, wsunął się do pociągu zręcznie, jak gimnastyk. Ktoś tam krzyknął, że nie wolno, pan Pączek jednak był zbyt blisko śmierci i kryminału, aby zważać na drobiazgi.

Przeszedł wzdłuż wagonu i ujrzał z rozpaczą, że wszystkie przedziały są zajęte; był zaś tak bardzo, tak śmiertelnie zmęczony, że niemal zazdrościł Tulipanowi, że sobie tam leży wygodnie na dywanie i nie ma żadnych już zmartwień, podczas kiedy on, goniony przez cień własny, drży każdem włóknem i obolały jest z tego strachu do tego stopnia, że zemdleje, jeśli w nim zrozpaczony duch na moment osłabnie. Głowa, niedawno ugodzona aparatem telefonu, dudniała i szumiała, jak telefoniczna centrala; musi więc gdzieś na chwilę usiąść, musi przecież pomyśleć, co robić dalej. Nie sztuka jechać; tak można dojechać nawet pod szubienicę. Jest bezpieczny na godzinę, może na dwie, później jednak odrutują cały kraj, jak garnek, telegramami, zamkną wszystkie wyjścia i tylko jedno zostawią otwarte: bramę do kryminału. Zadrżał nieszczęsny pan Pączek i

ujrzał wszystko straszliwe, jak na płótnie w kinematografie. Sędziów srogich, tłumy publiczności, adwokatów pyskatych, a zwinnych w gębie, a on, hańbą okryty, jak nieboszczyk prześcieradłem, będzie się bronił. Jeszcze nie wie, jak? Pewnie będzie udawał warjata, szkoda tylko, że to stary kawał... Albo będzie szczery i udowodni, że zabił w uniesieniu, oburzony łajdactwem Tulipana. Bo przecież ta mała szpilka, którą znalazł...

Szpilka!

Boże, trzeba ją zachować, koniecznie zachować na wszelki wypadek! Od niej się wszystko zaczęło, ona będzie głównym świadkiem. Gdyby nie ona, pan Pączek byłby szczęśliwy, a za dni kilka w ramionach panny Słoneczko... O, fatalna, o, przeklęta szpilko! Gdyby ją mógł zabić, zabiłby ją, jak Tulipana, z większą pasją, niż jego. Teraz jednak musi jej strzedz... Jest, jest bydlę wstrętne, Śpi w miękkiej klapie surduta.

Pan Pączek wpiął ją staranniej i mocniej.

Przeszedł raz jeszcze wzdłuż wagonu, bacznie przyglądając się podróżnym. Nikogo znajomego na szczęście, za dużo jednak tu tych ludzi. W jednym przedziale możnaby ostatecznie zaryzykować; jedzie jakaś wytworna dama z małym chłopczykiem.

Pan Pączek dał ostrogę duchowi swojemu i wszedł. Uchylił kapelusza i z pod oka spojrzał na damę. Dama spojrzała na niego wzrokiem rzewnym, którym zawsze i wszędzie patrzy pasażer, co myślał, że będzie sam, na pasażera, którego djabli przynieśli; we wzroku takim jest zawsze tysiąc życzeń: połamania rąk i nóg, nagłej ciężkiej

choroby i tym podobne.

— Pani pozwoli?

— Czy ja mogę zabronić?

Usiadł i odetchnął.

Musiał mieć jakąś minę niesamowitą, albo był bardzo blady, gdyż dama spojrzała na niego po chwili z niejakiem współczuciem.

— Zbyszek! — rzekła do chłopczyka, — zachowuj się spokojnie; widzisz, że już nie jesteśmy sami.

— Niech pani nie zwraca na mnie uwagi...

— A pan daleko jedzie?

— Niebardzo...

— Bo ja jadę do Berlina. Miałam dostać osobny przedział, mój brat mi obiecał i nie przyszedł na dworzec...

— Może ja przeszkadzam?

— Nie, jak pan niedaleko jedzie, to niebardzo. Zresztą i tak by ktoś wsiadł po drodze. To już wolę, że wsiadł dystyngowany człowiek, bo mógł wsiąść nie wiem już nawet kto? Czy pana głowa boli?

— Nie, jestem tylko trochę zmęczony.

— Bo ja mam proszki.

— Dziękuję pani, uprzejmie.

— Ja zawsze wożę ze sobą proszki. W podróży trzeba mieć termos i proszki, na co więcej? A pan to bez żadnej walizki?

— Moje kufry jadą w wagonie bagażowym...

Panu Pączkowi zrobiło się nieswojo. Czego ta baba tyle gada i czemu go tak wypytuje? Widać, że bez powodu i tylko z nałogu gadania, ale nie jest to przyjemne. Jemu się

nie chce wcale rozmawiać, bo nietylko, że go boli każde słowo, z trudem wyciągane z gardła i echem się rozwalające po jego pobitej, obolałej głowie, lecz mówiąc, czyni to mechanicznie, niedbale, całą duszą zaś jest gdzieindziej, biegnie wzdłuż pociągu, pilnuje, węszy, patrzy przerażony na druty telegraficzne, jak idjota, myśląc, że na nich dojrzy niebieskie iskry, na złamanie karku lecące z krzykiem: Łapcie Pączka! chwytajcie mordercę!

Pociąg bieży równo i wystukuje na relsach swoje wieczyste nonsensy, bawiąc się układaniem rytmicznych zdań. Nudną tę swoją zabawę może prowadzić bez końca, niczego lepszego nie mając do roboty. Pan Pączek słyszy, jak pociąg wystukuje: „Po coś zabił Tulipana... po coś zabił Tulipana... pana... pana... Tulipana...“

Pan Pączek ucieka od tego głosu i patrzy błędnie na damę, siedzącą naprzeciwko. Wszedł konduktor, obejrzał bilety, poszedł. Dama trzyma w ręku kilka zielonych kartek składanego biletu, które się rozluźniły.

— Przepraszam pana, — mówi dama, — czy pan nie ma przypadkiem szpilki?

— Czego? — szepce Pączek.

— Szpilki... Bilet mi się rozsypał, bo nitka się rozerwała. Chciałabym spiąć...

— Szpilki? Niestety... Nie mam szpilki... Ja zresztą nigdy w życiu nie miałem szpilki... — mówi pan Pączek głucho.

— Och, — rży wesoło dama, — pan jest zabawny...

— Kto, ja?

— Przepraszam, ale pan. Jak to może być, żeby pan w

życiu nie miał szpilki?

— Czy ja mówiłem, że ja w życiu...

— Ależ tak! Strasznie smutno pan to powiedział.

Pan Pączek starał się uśmiechnąć, aby wyratować sytuację, uczynił więc taką minę, jak człowiek, który się napił octu, albo któremu wyrywają zdrowy ząb.

— A wie pan, — mówiła dama, — pan mi kogoś bardzo przypomina. Czy ja pana kiedy nie spotkałam?

— Myślę, — rzekł z lodowatym strachem Pączek, — że nie miałem zaszczytu.

— Ej, coś mi się zdaje!... Czy pan nie jest pan Pączek?

— Jak? jak?

— Pan Pączek!

Biedny człowiek dostał ataku szału; rozpacz, strach, zgryzota, zmęczenie, burza w sercu, nawałnica w głowie, orkan w sumieniu, wszystko to razem wystrzeliło w jakimś straszliwym, obłąkanym śmiechu. Dama spojrzała zaniepokojona, a Pączek się śmiał, jak szatan, jak demon, jak warjat, zaś resztką świadomości, zawsze czujnej, chwytał, jak wędką małą rybkę w odmęcie, sposób wytłómaczenia się.

— Co się panu stało? — mówiła szybko dama, — oj, nie bój się Zbyszek, ten pan zaraz przestanie.

Pan Pączek ustawał w szaleństwie. Na czole miał zimny pot.

— Niech się pani nie gniewa, — mówił, — ale powiedziała pani takie zabawne nazwisko... Proszę mi wybaczyć... Muszę jednak być podobny do tego pana, gdyż mi się to zdarza po raz dziesiąty... Ach, jakież to śmieszne...

Czy może mi pani powiedzieć, kto jest ten pan Pączek?

— Miły człowiek... A to już jego nieszczęście, że się tak nazywa...

— Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Łubicki.

— Bardzo mi przyjemnie... Ja się nazywam Dora Tulipan! Może pan zna mojego brata? Mój brat się nazywa Stanisław. On ma bank przy Marszałkowskiej. Miał być na dworcu i nie był...

— Tak! on nie mógł być... — myślał Pączek, wpadając w bezwład.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ SZÓSTY,

W KTÓRYM BOHATER ROZPOCZYNA PODRÓŻ PRZEZ PIEKŁO.

W małem miasteczku, tuż przed granicą, pan Pączek wysiadł z pociągu. Nie miał sił, nie miał ochoty, lecz kazał mu to uczynić instynkt, który działał za niego.

Pan Pączek boleśnie się uśmiechnął. Miał przy sobie uczciwy paszport, miał wybornie wypisane i wspaniałemi pieczęciami opatrzone wizy, a oto musiał kluczyć, jak zwyczajny zając. Ten paszport, te wizy, to jego zguba. Na granicy już o nim wiedzą, już czekają, już mają przygotowane stalowe kajdanki, których swoją straszliwą szpilką nie otworzy.

O, jakże dotkliwie mścisz się, nieboszczyku Tulipanie!

Zamiast spać w sleepingu, w kolorowej pyjamie, pan Pączek brnie po błocie do miasteczka, do którego jest najmniej ze dwa kilometry od stacji. Wiatr wyje, bo w małem miasteczku wiatr zawsze wyje. Śnieg z deszczem siecze, bo w małem miasteczku zawsze tak.jest.

A przecież to wszystko, to dopiero początek. Przecież niewiele godzin dopiero upłynęło od chwili, kiedy Tulipan wydał ostatnie tchnienie. Teraz się dopiero zacznie na prawdę. Rozpacz się dopiero rozpędza i bieży za Pączkiem. Narazie los urządza mu haniebne kawały, aby go zdeprawować, aby go przerazić i odebrać mu nadzieję

ucieczki. Spotkanie siostry Tulipana w pociągu było bolesnym żartem.

Pan Pączek postanowił przedostać się za granicę starym, dobrym zwyczajem, bez prezentowania dokumentów. W nadgranicznem miasteczku doskonale znają sposoby przejścia, więc zbytnich zapewne trudności nie będzie. Trzeba tylko znaleść odpowiedniego człowieka, który się trudni przemytnictwem. Ponieważ w miasteczkach, leżących nad granicą, robią to wszyscy, oprócz księdza i czasem oprócz burmistrza, dość będzie łatwo znaleść Efialtesa, znającego ścieżki.

Pan Pączek ujrzał karczmę, łypiącą krwawemi oczyma okien na brudny, błotnisty gościniec. W karczmie zawsze i wszystkiego dostanie, więc zapukał do drzwi.

Przyjęto go z niekłamaną radością; gość w zasobnem futrze z bobrowym kołnierzem jest w karczmie widowiskiem rzadkiem.

Pan Pączek obejrzał się bystro; w karczmie nikogo nie było. Pomyślał, że udawanie gościa, co się przyszedł w nocy zabawić do karczmy, będzie wcale głupie i do niczego nie doprowadzi. Skinął więc na żydowina, który nie miał oczu, tylko samą bystrość w tem miejscu, który nie miał twarzy, tylko samą mądrość, a usiadłszy w ciemnym kącie, zaczął z nim mówić szeptem, rozważnie, powoli, aby nie powiedzieć za wiele.

— Czy pan jest właścicielem tej karczmy?

— Może być, czemu nie?

— Czy może mi pan powiedzieć, jak daleko stąd do granicy?

— To zależy...

— Nie rozumiem. Jest albo blisko, albo daleko. Mila, dwie, czy pół?

— To zależy. W dzień jest bardzo blisko, w nocy znacznie dalej. Pociągiem jedzie się dziesięć minut.

— A piechotą?

— Czasem dwa dni, a czasem trzy.

— To niemożliwe!

— To jest całkiem możliwe, bo czasem nie można dojść i trzeba kilka razy wracać. Pan dobrodziej ma interes za granicę?

— Może mam.

— Zaraz?

— Bardzo mi się nie spieszy, nic pilnego, ale możnaby i zaraz.

— No, to ja myślę, że trzeba zaraz!

— Niech pan niczego nie myśli. Mam w porządku paszport i mógłbym pojechać pociągiem.

— Ja rozumiem. Taki pan ma z pewnością papiery w porządku. Tylko pan nielubi tego komisarza policji, co stoi na granicy. Pewnie, pewnie... On ma nieprzyjemną twarz...

Pan Pączek spojrzał na niego złym wzrokiem.

— Ja nie mam czasu na żarty.

— Kto żartuje? ja żartuję? Tak się tylko mówi. Ja chcę zarobić, to ja panu to urządzę. Tylko ja panu coś powiem...

Digitized by Google Original from PENN STATE — Co mi pan powie?

— Jak pan ma takie futro i jak pan ma w porządku paszport i jak pan jest taki blady, to to jest gruba sprawa. Ja

sam nie zaryzykuję. Tu trzeba specjalisty.

— Do czego?

— Do ryzyka. Jakby tu szło o parę koni, albo o sacharynę, to ja mogę. To nie jest nic strasznego. Ale ja czuję, że tu jest trochę więcej w interesie. To musi zrobić kto inny.

— Kto?

— Niech pana głowa nie boli. Lejbuś!

Przyszedł mały Lejbuś, któremu ojciec powiedział parę słów na ucho. Lejbuś zwiał, jak kurjer cesarski, i pogonił z wiatrem.

Za dziesięć minut przyszedł żyd stateczny, na gębie jeszcze mądrzejszy, niż karczmarz. Na pana Pączka spojrzał jednym błyskiem oczu i już wiedział, co wiedział. Pogadał szeptem z karczmarzem, potem się zbliżył do pana Pączka.

— Moje uszanowanie, panu dobrodziejowi. Co słychać w Warszawie?

— Nic.

— Ja słyszałem, że w jednym banku uciekł kasjer.

— Źle pan słyszał.

— Aj, najmocniej przepraszam. Ale tam teraz łapią komunistów.

Pan Pączek uśmiechnął się niecierpliwie.

— Jeszcze raz przepraszam. Nu, co właściwie jest? Ja muszę wiedzieć, bo ja ryzykuję.

— Pojedynek...

— Z pistoletem?

— Tak, właśnie.

— Na śmierć?

— Prosty przypadek.

— Co to warte?

— Nie rozumiem...

— To znaczy, ile się za to siedzi? To nie jest nasza specjalność, to ja nie wiem.

— Ja też niebardzo. Może rok, może dwa.

— Aha! Potem amnestja?

— Pewnie.

— Nu, może być! Ja zaryzykuję... Pan dobrodziej chce zaraz?

— Może być natychmiast. Co to kosztuje?

— Co to kosztuje? Oj, przecież nie pójdziemy do sądu. Pan powiedział: dwa lata. Niech będzie każdy rok po dwieście pięćdziesiąt złotych.

— Jakie dwa lata?

— Te, co by pan odsiedział.

— Ja mówiłem: rok.

— Ja słyszałem — dwa. A jak się pan zacznie targować, to przez ten czas zmienią kodeks i będzie trzy.

Po krótkim targu, pan Pączek zapłacił połowę z góry, połowę drugą miał zapłacić po przejściu granicy. Za godzinę wchodził do szumiącego lasu. Żyd szedł przed nim, ostrożny, jak Indjanin. Zatrzymał Pączka dotknięciem ręki, bo się w plugawej, zadeszczonej ciemności zaledwie widzieli.

— Tutaj najgorzej, — szepnął. — Trzeba bardzo cicho. Ale ja panu mówię, pan ma szczęście. Każdy inny, to by pana wsypał, a ja widzę, że się uda. Jak pan, albo kto z pańskich znajomych będzie potrzebował, niech pan o mnie

pamięta. Niech pan tylko da znać do karczmy. Ja się nazywam Gedale Tulipan.

— Pan Pączek wydał z siebie chrapliwy, przejmujący głos.

— Co panu jest?

Panu Pączkowi szczęknęły zęby.

— Niech się pan nie boi. Ja widzę, że ten pojedynek, to on się nie odbył. Nu, nu, spokojnie. Jak pana Tulipan prowadzi, to pan się nie potrzebuje bać. Ja mam słabość do tych, co są z Warszawy. Moja rodzina tam mieszka. Może pan słyszał...

— Pan Stanisław Tulipan jest moim przyjacielem! — wyrzekł głos z grobu.

— Oj, oj! Mnie bardzo przyjemnie. Teraz to pan z pewnością przejdzie. Czemu mi pan tego przedtem nie powiedział? Zrobiłbym taniej... Chodź pan, tylko śmiało! Jak będziemy za granicą, to niech pan biegnie na prawo; tam w pierwszym domu na lewo, mieszka mój krewny, on panu da list do Berlina, znowu do swojego krewnego, a tam pan może dostać dobry paszport. Jak pan jest przyjaciel Stasia, to panu każdy pomoże. Cicho! Już! Prędko!...

Zdaje się, że nerwowość dzielnego Tulipana należała raczej do obrzędu przechodzenia granicy, którą można było przejść z wesołą na ustach piosenką, nikt jej bowiem nie pilnował. Trzeba było jednak nastraszyć klijenta, więc i pan Pączek się bał. Skakał przez wykroty, jak jeleń, gonił, jak zając, zanim go Tulipan nie wstrzymał.

— Niech pan dobrodziej odpocznie, tu już jest za granicą. Widzi pan, jak to ciężko przejść? A ja jeszcze

muszę wracać i do mnie mogą strzelać. Nu, porachujmy się!

Pan Pączek wypłacił resztę i, dziko patrząc przez ciemność na jeszcze jednego Tulipana, żegnał się z nim.

Kiedy został sam, zadrżał. Wolał to jednak, niż towarzystwo tego przewodnika. Czy się nieboszczyk Tulipan znęca nad nim, czy co?

Szedł przed siebie, a rozpacz prowadziła go pod ramię. Był bardzo, bardzo wyczerpany, znużony, osłabły, pobity, zdechły. Od dwunastu godzin uciekał, a cień Tulipana biegł za nim, śmiał się we wietrze, urągał mu szumem drzew, bryzgał na niego błotem, strząsał mu wilgotny śnieg z gałęzi za kołnierz. Pan Pączek czuł straszliwą nienawiść do Tulipana, za to szczególnie, że go zastrzelił.

Niósł tedy biedny pan Pączek pod pachą swoje sponiewierane życie i szedł na tułaczkę, myśląc smutno, że jednak lepiej jest być żywym Pączkiem na tułaczce, niż rozstrzelanym Pączkiem, albo Pączkiem do końca życia w kryminale czerstwiejącym. Miał bowiem w sobie niezmierną żądzę życia, więc jakoś sobie to życie ułoży, jakoś żyć będzie, choć z rozpaczą w dobrem sercu. Powędruje na kraniec świata. Pieniędzy ma przy sobie wcale dużo, jest obrotny i nie zginie. A zczasem, któż wie, co się zczasem stać może?

Narazie pan Pączek miętosił miękkie, tłuste błoto, jak ciasto na pączki. Szedł, szedł, wciąż na prawo, wedle polecenia, aż dojrzał jakiś dom, już dawno śpiący. Kołataniem obudził gospodarza, starego żyda, który się zdumiał, ujrzawszy blade widmo w zabłoconem aż po kołnierz kosztownem futrze i przezornie je oglądał przy

świetle latarni przez szparę we drzwiach.

— Od Tulipana! — jęknął Pączek.

Drzwi się otwarły, jak wrota Sezamu.

Pączek spał kilkanaście godzin w jakiejś komórce niespokojnym snem. Śniło mu się, że przemytnik Tulipan, otrzymawszy wiadomość o nagłej i niespodziewanej śmierci wspaniałego, warszawskiego kuzyna, przyszedł tu, do Pączka i za chwilę go będzie dusił. Poczem mu się zdawało, że panna Słoneczko, której wspomnienie gna za nim przez pola i lasy, dogoniła go wreszcie, że stanęła nad nim, pochyliła się i z jej rozdartego serca łzy miłości padają śpiącemu na twarz ciężkiemi, ciepłemi kroplami. Wzdrygnął się pan Pączek i twarz zasłonił rękami. Ale i na ręce padał ten gorący, źrący deszcz. Co to jest? co to jest? Spojrzał Pączek i wzdrygnął się po raz drugi: to kury, układające się ponad nim do snu na wystających krokwiach na strychu, czyniły to, co im kazała czynić ich kurza natura.

Przywołało to biednego Pączka do życia.

Po długiej naradzie z żydem, otrzymał od niego po hebrajsku pisane listy do braci w Berlinie. Odstawiono go końmi do jakiejś odległej stacji i z wielkiemi ostrożnościami wsadzono do pociągu.

Kiedy się Pączek znalazł w Berlinie, odetchnął nieco wśród wielkiego mnóstwa ludzi, wśród których niezawodnie więcej było takich, jak on. Przyczaił się w rozgwarze wielkiego miasta. Przedewszystkiem kupił gazety i szukał, czy wśród wiadomości z całego świata nie będzie wiadomości z Warszawy o zamordowaniu znanego w całem mieście bankiera, nigdzie jej jednak nie znalazł.

— Za drobna sprawa na Berlin! — pomyślał z ulgą, gdyż mu się wobec ogromu innych spraw wydało, że zbrodnia jego cokolwiek się skurczyła.

Zmniejszyła się ona jeszcze bardziej, kiedy zjadł dobry obiad. Na popasie, nad granicą zjadł śledzia i kawałek chleba, teraz więc odrabiał zaniedbanie, poczem poszedł, mozolnie szukając adresu, do braci polskich żydów.

Kiedy przed bardzo sprytnym dżentelmenem ze złotą dewizką na brzuchu i z brylantami na palcach, sprawę swoją wyłuszczył, powtarzając historję o pojedynku, dżentelmen zgodził się chętnie na wyrobienie dokumentów, którę będą trochę nieprawdziwe, cóż jednak w tych czasach można nazwać bezwzględnie prawdziwem?

Pan Pączek musiał mu jednak pokazać swoje dokumenty prawdziwe.

— Pan Pączek? Pan Feliks Pączek? — zdziwił się dżentelmen, — oj, źle!

— Źle? czemu źle?

— Tu już o panu wiedzą.

— Kto, gdzie, w jaki sposób?

Każde słowo Pączka było blade i zataczało się, jak pijane.

— Jak — to tego ja nie wiem, ale wiedzą. Dzisiaj, kiedy byłem w polskiem poselstwie, słyszałem, jak poseł mówił do sekretarza...

— Co mówił, na Boga, co mówił?

— Mówił: „trzeba koniecznie wydobyć z pod ziemi Feliksa Pączka!“

— Skąd on mógł wiedzieć o mnie?

— Z depeszy. Czytał długo depeszę i w niej było pańskie nazwisko.

— Proszę o szklankę wody... — szepnął Pączek, zrujnowany na duchu.

— Wody? Co panu pomoże woda? Tu trzeba wielkiego rozumu. Ja widzę, że pan poseł ma do pana jakąś złość, pewnie niesłuszną. Ale co robić? Mnie wyrzucił raz za drzwi... On ma do każdego złość. Pan pewnie jest biały, jak śnieg, ale z takim to się nie można dogadać. Po co pan ma jemu leźć na oczy? Jak on pana szuka, a pan nie chce, żeby on pana znalazł, to wszystko jest w porządku.

Pączek kiwał melancholijnie głową, właściwie zaś głowa kiwała się sama, na swój rachunek. Pączek nie był zdolny do silniejszego ruchu.

— Niech pan poradzi...

— Ja panu poradzę. Przyjaciel Stasia Tulipana, to jest mój przyjaciel. Ja panu coś powiem. Poseł pana sam nie będzie szukał, bo on na to jest za wielki pan. Ale on zrobi co innego...

— Co on zrobi?

— Oj, pan pyta, jak dziecko. On poprosi policję, aby mu wynalazła pana Pączka, bo on go bardzo lubi i chce zobaczyć, jak on wygląda zbliska.

— To nie może być!

— Ja także myślę, że to nie może być. Ja nie wiem, dlaczego oni pana tak szukają, ale to nie jest mój interes. Ja wiem, że gdyby mnie tak szukali, to ja bym już był daleko...

— Gdzie?

— To my pomyślimy... Czekaj pan, czekaj pan... Jak pan

chce zaryzykować, to niech się pan na dwa, trzy dni, schowa w Berlinie.

— Ja nie chcę ryzykować... Po co te dwa dni?

— Bo za dwa, trzy dni przyjedzie tutaj ktoś taki mądry, co panu doskonale poradzi.

— Kto?

— Staś Tulipan...

— On nie przyjedzie! — krzyknął Pączek.

— Sza! sza! czego pan tak krzyczy? On przyjedzie, bo on kupił w Berlinie dwa domy i ma robić kontrakt.

— On nie przyjedzie... — jęczał Pączek.

— Pan ze strachu trochę zwarjował. Wczoraj przyjechała jego siostra i mówiła, że przyjedzie. On przyjedzie, żeby się świat miał zawalić. A nie przyjechałby tylko w tym wypadku, gdyby umarł...

— A jeżeli on umarł?

— Wypluń pan natychmiast to słowo! Pan naprawdę zwarjował. Czy pan jego aż tak kocha, że się pan przestraszył tego, że on mógłby nie przyjechać? To bardzo ładnie z pańskiej strony, panie Pączek. Ja panu za to wszystko zrobię. Teraz każdy jest antysemita, a pan nie. Bardzo mnie to jest przyjemnie. Ale wie pan, prawdę mówiąc, to tego Stasia zgubią aktorki. Sam pan powiedz! On się przez taką baletnicę kiedyś czegoś dopyta... To jest mój kuzyn i ja jemu dobrze życzę, ale po co on się zaraz naprawdę kocha? Co? Ale niech go gęś kopnie, cha! cha! Teraz pan powiedz, chce pan na niego czekać, Czy nie?

— To by za długo potrwało...

— Jak pan sobie życzy.

— Chciałbym wyjechać natychmiast.

— Natychmiast to się nie da. Gotowego paszportu nikt nie ma w rękawie, ale jutro go pan będzie miał.

— Dokąd mam jechać?

— Czekaj pan, czekaj pan! Już mam! Pan pojedzie do Egiptu.

— Boże drogi!

— Niema „Boże drogi!“, bo w Berlinie jest lepsza policja, niż w Egipcie. A w Egipcie to my mamy jednego kuzyna...

— I w Egipcie też?

— Czemu nie? Wszędzie trzeba mieć rodzinę... On się panem zajmie. Tam łatwiej, bo tam jest prawie zawsze rewolucja. Teraz trzeba panu tylko wynaleźć nazwisko?

— Wszystko mi jedno...

— To nie jest wszystko jedno. Ja się pana pytam, czy pan chce mieć bogate nazwisko, czy takie sobie. Jak pan ma dużo pieniędzy, to lepiej jest mieć dobre nazwisko do wielkiego hotelu, dżentelmeńskie nazwisko. Jak nie, to nie. Mnie jest wszystko jedno...

— Wolałbym skromne...

— Skromne? Też może być... Widzę, że pan nie był kasjerem. To coś innego... Tem lepiej...

— Mówiłem panu: pojedynek.

Dżentelmen przymrużył lewe oko.

— Aj, prawda, zapomniałem... Pojedynek? Może ze Stasiem Tulipanem? Cha! cha! No, już dobrze... To nie mój interes... Ale jak Staś tu przyjedzie, to mu tego witza opowiem. Zapytam go: „Staś, to ty żyjesz? To ciebie pan

Pączek nie zastrzelił?“ Oj, jak to śmiesznie! oj, jak śmiesznie!... Panie Pączek, co panu jest?

Pączek patrzył w niego, jak człowiek, który jeszcze nie umarł, ale zrobi to z pewnością za chwilę.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

OWIANY GORĄCYM TCHNIENIEM PUSTYNI I ZALATUJĄCY WONIĄ KROKODYLÓW.

Straszne nieszczęście swoje, swoją zgryzotę, rozpacz swoją, swój ból i swoją szpilkę nieszczęsną powiózł pan Pączek za fałszywym paszportem za morze. Siedział czasem w nocy na pokładzie i gorzko płakał. Zbyt ciężko pokarał go los za to, że chciał zapiąć suknię rozpiętej i rozwiązłej baletnicy. Stracił wszystko, a w tej chwili stracił już więcej, niż wszystko, nie miał już bowiem nawet swojego nazwiska. Berliński Tulipan nazwał go Arturem Boelke, trochę z niemiecka, trochę fantastycznie.

Nie poznałabyś matko Feliksa Pączka, syna swego pierworodnego! Pulchny do niedawna i różowy, siedzi oto, pożółkły i kościsty, i leje do morza łzy, jakby w niem mało było jeszcze soli. Smutkiem swoim straszliwym truje ryby. To nie smuga dymu z okrętowego komina wlecze się za okrętem, to czad melancholji z duszy syna twojego. Ile razy wesoła mewa zapędziła się za okrętem, nagle gdy jej wzrok bystry padł na twarz Pączka, mewa czyniła rozpaczliwy wrzask i zawracała w te pędy, uciekając na widok twarzy tak śmiertelnie smutnej. Delfiny tak długo włóczyły się w pląsach za okrętem, jak długo na tył okrętu nie zachodził Pączek. Kiedy on tam raz przystanął i spojrzał w błękit, na tonie padł czarny cień.

— Uciekajmy! — wrzasnął stary delfin, a inne, ogony zadarłszy, uciekały, jakby na widok śmierci.

Okręt cały posmutniał. Majtkowie patrzyli na Pączka z niepokojem, jak na kogoś, za kim chodzi nieszczęście. Żaden z nich by się nie zdziwił, gdyby nagle, wśród niebieskiej pogody, na morzu nieruchomem, jak błękit, okręt zaczął tonąć bez powodu. Powód był wystarczający: Pączek na pokładzie. Na jego widok czułym ludziom rozdzierały się serca, jakżeż łatwo mogło się zdarzyć, że się z wielkiej żałości rozedrze bok okrętu!

Ha! Ha! I to był człowiek, przed niewielu dniami szczęśliwy, jak dziewica, którą mają wieźć do sułtańskiego łoża!

Człowiek, który znalazł szpilkę!

Człowiek bez narzeczonej, bez jutra, bez nazwiska, bez sumienia, bez duszy i zdaje się, że już bez żołądka, albowiem pan Pączek, recte pan Boelke, jadł mało, niemal nic. Wyrzuty sumienia nigdy nie były środkiem na pobudzenie apetytu. Tylko zbrodniarze zatwardziali potrafią jeść i pić, zabiwszy człowieka, Pączek zaś był nowicjuszem. Sumienie go gryzło. Cóż mu bowiem zawinił nieszczęsny Tulipan, cóż mu właściwie zawinił? Pączek się urżnął jego winem, zbałamucił mu jego donnę, potem go zastrzelił w jego własnem mieszkaniu. Tego tylko brakowało, żeby był od Tulipana pożyczył jego rewolweru i żeby sobie kazał przedtem zrobić testament na swoją korzyść.

— Właściwie, toś pan postąpił jak świnia, panie Pączek! — rzekło mu sumienie podczas jednej księżycowej nocy.

I pan Pączek płakał.

Już go to nawet nie dziwiło, że widmo, straszliwy cień Tulipana, jest wciąż przy nim. Upiór nie dał się zbałamucić fałszywym paszportem i fałszywem nazwiskiem swojego mordercy. Włóczył się za nim, pląsał przed nim, siadał przy nim, leżał z nim, trącał go w łokieć; kiedy Pączek usiłował jeść, Tulipan stawał przed nim i strasznym wzrokiem patrzył w jego talerz. Pączek czynił chyłkiem znak krzyża, ale i to Tulipana zbytnio nie odstraszało.

Kiedy się Pączek kładł do snu w kajucie, natychmiast zjawiało się widmo Tulipana. Pączek czuł najwyraźniej, że go coś trąca w plecy i coś szemrze:

— Posuń się pan, panie Pączek!

Wtedy się zrywał i biegł na pokład. Widmo biegło za nim. Kiedy Pączek patrzył na fale, Tulipan skakał natychmiast do wody, dając tem dowód jawny, że duch, choćby się za życia wody bał, jak ognia, nie boi się jej po śmierci. Skakał po grzbietach fal, po świetle miesiąca, poczem złośliwie pryskał zimną wodą na stojącego w przerażeniu i w szlafroku Pączka.

Pączek jęczał, jakby miał skonać za chwilę.

I chudł i chudł, ciągle chudł. Uczciwy i szanowany do niedawna człowiek wyglądał teraz jak literat. O, jak straszne są owoce zbrodni!

Pączek postanowił utopić Tulipana w alkoholu.

Raz w nocy zwrócił się do upiora, który z nudów wyskoczył na maszt i tam sobie siedział, jak niesamowita, dziwnych kształtów wrona.

— Tulipanie! — mówił Pączek bez głosu, ale

patetycznie.

Upiór wydłużył szyję i złączył ją z szyją czarnego dymu, którego brzuch wlókł się za okrętem po morzu.

— Tulipanie! — mówił Pączek, — powiedziałeś mi, że piłem za twoje pieniądze. Dobrze powiedziałeś! Od jutra będę pił za swoje!

I pan Pączek począł pić.

Na dnie kieliszka zawsze widział urągliwy uśmiech Tulipana; ciskał się wtedy na kieliszek zachłannie, jakby chciał połknąć straszliwego ducha, a on, chytry, spływał kędyś po szkle i już siedział na szyjce nowej butelki.

Tulipan był nieśmiertelny. Wszędzie na świecie musi być jakiś z Tulipanów. Ten na okręcie był jednak najstraszliwszy.

Pan Pączek pił wszystko, prócz wody morskiej, a jednak ani razu nikt nie widział uśmiechu na jego twarzy, najzupełniej dojrzałej do trumny.

Pijany dojechał do portu.

Duch Tulipana ujął go pod rękę i sprowadził na ląd.

— Dziękuję panu! — rzekł cicho Pączek.

— Niema za co! — wionął duch.

W tej chwili pan Pączek zdrętwiał. Ktoś mu położył ciężką rękę na ramieniu i ktoś mówił po angielsku.

— Pan się nazywa Artur Boelke?

— Nie rozumiem! — odrzekł Pączek po francusku.

Zapytali go o to samo po francusku.

— Tak jest, tak się nazywam. Mam przecież prawdziwy paszport.

— W porządku! — rzekł wysoki człowiek.

Poczem założono stalowe kajdanki na ręce pana Pączka.

On się nie bronił, ani nie zdziwił. Zwrócił się tylko dokoła oczyma, szukając ducha. Duch siedział na kasku policjanta.

— Jesteś pomszczony, Tulipanie! — rzekł duch do ducha.

— Myślę sobie! — zawołał wesoło upiór bez głosu i poleciał na cieniu.

Kiedy Pączka przyprowadzono do więzienia, upiór Tulipana już tam siedział na pajęczynie.

Pączek skinął mu głową, bez słowa.

Nie miał ochoty do rozmowy. Był napełniony gorzkim żalem, jak butelka kwasem siarczanym, albo angielską gorzką. Złapali go, — trudno! Kiedyś go złapać musieli, nie to go martwi i napawa goryczą. Po co jednak zniósł tyle udręki, tyle trwogi, tyle cierpień. Uciekał jak zając z bijącem sercem, jak jeleń, goniony przez psy. Uciekał przez lasy, przez pola i przez bagna. Przepłynął morze, które go napoiło solą zgryzoty. Czyż nie lepiej by było, by go byli schwytali na dworcu kolejowym w Warszawie?

Kiedy go zawołano do przesłuchania, idąc, postanowił, że nie będzie niczego ukrywał, bo i po co? Jeśli zdołali odkryć, że pan Artur Boelke jest panem Feliksem Pączkiem, to chyba i to wiedzą, że pan Pączek jest mordercą.

Spojrzał tępym wzrokiem w twarz sędziego i czekał zapytania.

— Artur Boelke?

— Nie!

— Panie Boelke! — rzekł sędzia, — niech pan nie będzie głupi.

— Nie jestem głupi i chcę wyznać, że nie jestem tym, za kogo mnie pan uważa.

— Metoda pańskiej obrony jest naiwna. Dość już o tem. Wiemy, kto pan jest. Głupie z pańskiej strony było tylko to, że pan tu przybył pod prawdziwem nazwiskiem. Taki zręczny człowiek, jak pan!

— Jak ja?

— Proszę bez niepotrzebnych słów. Po co pan tu przyjechał?

— Odpocząć...

— Dobrze powiedziane; na szubienicy odpoczywa się wcale wygodnie. Gdzie dynamit?

— Jaki dynamit?

— Pan jest jednak głupszy, niż się to wydawało. Pytam, gdzie pan ukrył dynamit, czy pyroksylinę, czy inne środki wybuchowe?

Pan Pączek przetarł oczy. Ha! Oni nic nie wiedzą o Pączku: To jakaś pomyłka i jakieś nieporozumienie. Oni szukają naprawdę jakiegoś pana Boelke.
Uśmiechnął się więc po raz pierwszy od wielu dni.

— Panie! — rzekł niesłychanie uprzejmie do sędziego — jestem turystą, który chce zwiedzić Egipt.

Sędzia zmienił oczy we dwa sztylety i dźgnął niemi Pączka w piersi. Potem zadzwonił i coś szepnął do ucha policjantowi. Po chwili z niesłychaną ostrożnością kilku żołnierzy z oficerem na czele wniosło jego kufer, który mu Tulipan berliński darował w Berlinie.

— Ostrożnie! — krzyknął sędzia. — Oddaj pan klucze! — rzekł groźnie do Pączka.

— Służę panu...

— I to wszystko, co pan ma przy sobie.

— Proszę...

Pączek wydobywał kolejno portfel, zegarek, ołówek, scyzoryk.

— Czy nie ma pan już niczego przy sobie.

— Owszem, drobiazg...

— Co takiego?

— Tę szpilkę...

Sędzia machnął lekceważąco ręką, a Pączek, przyjrzawszy się szpilce, uśmiechnął się smutno.

Po chwili wszyscy cofnęli się daleko pod ściany, a oficer artylerji z wielkiemi ostrożnościami otwierał kufer. Wydobył z niego parę spodni, kilka koszul, płócienne ubranie i trochę szpargałów.

Wśród obecnych zapanowała konsternacja.

— Może jest podwójne dno! — rzekł oficer.

Znów bardzo ostrożnie zaczęto odłamywać dno. Posypały się wióry.

— Nie ma nic — meldował oficer.

— Znajdziemy! Znajdziemy! — mruknął sędzia.

Pączek wrócił do celi.

— Nu? — zapytał duch.

— Pomyłka... — rzekł Pączek.

— Szkoda! — szepnął duch.

Pan Pączek wiądł w kryminale. Dostawał na cały dzień garść daktylów i dzbanek wody; zabijał czas w ten sposób,

że sobie liczył żebra, albo przebiegał po nich palcami, jak wesoły człowiek czasem palcami gra na szybie. Jedyną jego rozrywką był ten suchy głos kości. Brzuch mu się zapadł tak, że żołądek dotykał kręgosłupa, co go również bawiło.

Co dnia kazali mu mówić, gdzie ukrył dynamit. Ponieważ stale tego nie wiedział, więc czasem, chcąc pomóc jego pamięci przez silne wzruszenie i przez szybszy obieg krwi, mocny policjant uderzał znienacka w czaszkę, co jest sposobem zdawna wypróbowanym na wszelkie dolegliwości i zaćmienia rozumu. Przy tej sposobności wypadło z pięknego garnituru zębów pana Pączka sześć najbardziej urodziwych. Nie były to jednak bomby i władze nie były zadowolone.

W tym mało urozmaiconym stanie spędził biedny pan Pączek sześć miesięcy. Jedyną, prawdziwą jego rozrywką była rozmowa z duchem Tulipana, który czasem przylatał i przysiadłszy na kracie więzienia, słodkie z nim wiódł rozmowy. Rzecby można, że się zaprzyjaźnili. Śmierć zasypuje przepaście. Wydawało się, że Tulipan z czasem zmniejsza swoje pretensje do Pączka. Musiał to być jednak dobry człowiek za życia.

— Przepraszam pana, żem pana zabił! — rzekł raz Pączek do Tulipana.

— Cała nieprzyjemność po mojej stronie! — zaśmiał się Tulipan, widocznie tak głośno, że mury zadrżały.

Co się stało?

W celi Pączka leciał tynk z pułapu, Tulipan uciekł jak szalony, w oddali słychać było rozjęczany dźwięk pobitego szkła. Ziemia egipska również się nieco zatrzęsła.

— Musiała się piramida zawalić! pomyślał chudo pan Pączek.

Nazajutrz dopiero dowiedział się nadzwyczajnej historji. Zaprowadzili go znowu do sędziego.

— Panu na imię Artur? — zapytał uprzejmie sędzia.

— Tak, panie!

— No, to pan jest wolny...

— O, Boże!jęknął Pączek.

— Muszę pana przeprosić, że pan przesiedział sześć miesięcy, ale to trudno... Stało się... Szukaliśmy niebezpiecznego rewolucjonisty, który miał paszport na nazwisko Boelke. Dlatego zamknęliśmy pana. A tamten wczoraj wysadził pałac gubernatora w powietrze... I nazywał się Alfred. Zaraz go wsadzą do pańskiej celi. Ale jak się pan może nazywać tak niebezpiecznie?

— Panie sędzio, tak mnie nazwali...

— Jeszcze raz pana przepraszam. Do widzenia panu. Oto pański portfel i zegarek.

Pączek słaniał się ze szczęścia, wychodząc.

— Panie Boelke! — rzekł sędzia. — Mam do pana dwie prośby.

— Służę panu...

— Najpierw niech pan nikomu nie opowiada, żeśmy się tak pomylili...

— Mogę pana zapewnić...

— A druga jest taka: czy pan zna jakiś słowiański język?

— Znam, polski.

— Polski? Znakomicie! Wybornie! Otóż niech mi pan przeczyta jakieś przeklęte polskie nazwisko. Szukają

jakiegoś draba po całym świecie, a ja nie mogę odczytać jego nazwiska. O, tu, w tem miejscu.

Pączek spojrzał i świat się z nim zakręcił.

— „Feliks Pączek“, — odczytał głosem piekielnym, z brzucha.

— Jak?

— „Pączek“. A z takim ogonkiem wymawia się „ą“.

— Niech djabli wezmą człowieka, który się tak nazywa. Ale gdy ja go znajdę, to mu tak zmienię nazwisko, że go rodzona matka nie pozna.

Pan Pączek usłyszał szelest.

— Nu? — szepnął duch Tulipana, — czyje będzie na górze, panie Pączek?

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Kornel Makuszyński.*

ROZDZIAŁ ÓSMY,

W KTÓRYM ŻYCIE NIESZCZĘSNEGO CZŁOWIEKA ZMIENIA SIĘ W KINEMATOGRAF.

Nieszczęsny Pączek, dzierżąc się kurczowo łęku siodła, siedział na wielbłądzie i rwał w pustynię, jak samum.

„...Daremnie palma zielona z cieniem i owocem czeka...“

Każda palma wydawała się Pączkowi podobną do wysmukłej szubienicy. Zdawało mu się i bez tego, że jedzie na śmierć, czuł bowiem zamęt w głowie i ściskanie w żołądku, który zmieniwszy zwyczajowe miejsce swojego pobytu, pchał się ku górze, jakby chciał koniecznie zobaczyć, co Pączek ma w gardle? Podobno tak się zwykle dzieje nieszczęsnym ludziom, jadącym na wielbłądzie, Pączek jednak był przekonany, że te straszliwe i mocno nudne cierpienia nasyła na niego jego psi los.

To, że już o nim wiedzieli w Egipcie, przeraziło Pączka do tego stopnia, że się odważył dosiąść tak straszliwego zwierza, jak wielbłąd i oto uciekał na szeroką pustynię bez kresu, bez nadziei i bez wody. Wiódł go na nią smagły Arab, do którego miał list polecający od berlińskiego Tulipana. Wymizerowany więzieniem Pączek zjadł dwie garście daktylów i pieczonego skorpiona, pokrzepił się garnkiem wielbłądziego mleka i nie chciał zostać ani chwili na świętej ziemi Egipcjan.

Arab patrzył z litością na nieszczęsnego cudzoziemca,

kiwał głową i cmokał ustami. Pan Pączek, wzruszony bardzo, usiłował strzępami wszystkich języków, jakie znał, zagadać do rycerskiej duszy syna pustyni. Nie można było jednak porozumieć się z nim w żaden sposób.

Naraz zabłysły piękne oczy Araba, ślicznie przypalonego na rożnie słońca. Przyglądał się długo panu Pączkowi, poczem rzekł głosem wzruszonym:

— Oj, mnie się zdaje, że pan mówi po polsku...

Pączek się zerwał, jakby w niego piorun trzasnął; wprawdzie ten, w kogo piorun trzaśnie, nigdy się nie zrywa, tylko leży bez ducha, ale tak się to mówi.

— Ha! — krzyknął, — pan mówi po polsku?!

— Czemu nie? odrzekł Arab, śmiejąc się radośnie, — jak mam mówić?

— Kto pana nauczył?

— Co znaczy: nauczył? Ja zawsze umiałem. Ja się urodziłem w Radomiu. Oj, co to za miasto, jakie śliczne miasto! Powiedz pan sam! Czy jest ładniejsze na świecie?

— Panie! — mówił Pączek z przerażeniem, — czy pan się nazywa Tulipan?

— Jabym chciał, ale ja się tak nie nazywam... Tulipany, to wielka rodzina. Tylko jedna moja babka wyszła bardzo dawno za dalekiego krewnego Tulipana, to ja już należę do rodziny i jak jest jaki interes w tych stronach, to oni zawsze o mnie pamiętają i zawsze każdego posyłają do mnie. Ale ja się bardzo cieszę, że pan jest mój rodak... Ja panu tanio wszystko zrobię...

— Gdzie mnie pan teraz zawiezie?

— W dobre miejsce, niech się pan nie boi!..

Zdumienie Pączka było większe, niż piramidy, było większe, niż pustynia; wydało mu się, że na całym świecie rosną i mnożą się tylko Tulipany, najpotężniejszy ród ziemi, a inni ludzie są tylko niepotrzebnym dla nich dodatkiem. Zaczął uczuwać, pomięszaną z wielką trwogą cześć dla Tulipanów, czuł się wobec nich małym i nieporadnym. Poczem zadrżał na myśl, coby się z nim stało, gdyby potężni przedstawiciele tego rodu, których wciąż spotyka na swojej drodze i którzy go ratują, dowiedzieli się, że ratują mordercę ich brata, który przestrzelił głowę ich rodziny. Zimno mu się zrobiło w skwarze pustyni.

Po trzech dniach przybyli do koczowiska potężnego plemienia arabskiego, które kradło konie i wielbłądy w promieniu stu mil; za tym obrębem kradło inne dzielne plemię.

Kiedy go zaprowadzono do wodza plemienia, ujrzał Pączek sędziwego patrjarchę z długą, białą brodą, palącego fajkę.

Przewodnik szepnął:

— To jest wielki szeik hadżi Duwid, ben Jusuf, ben Ibrahim, ben Daniel, ben Akiba, a po naszemu to on jest Dawid Tulipan. To jest prawdziwy Tulipan!

— Ratunku! — jęknął Pączek.

Kiedy przewodnik długo po arabsku poszwargotał z szeikiem, ten wzniósł łaskawie wzrok na przybysza i rzekł dostojnie:

— Bądź pozdrowiony, cudzoziemcze, w moim namiocie. Niech rosa niebieska pada na twoje oczy, kiedy będziesz spał, a kwiaty niech tam wyrosną, gdzieś przed chwilą

siedział; niech twój syn będzie jak lew, a twoja córka jak palma wysmukła, co się przegląda w źródle.

A teraz usiądź i powiedz mi, jak stoi dolar w twoim kraju...

— Znakomicie!

— Chwała niech będzie Allahowi! Ja zawsze mówiłem, że Staś Tulipan ma głowę i że on nie potrzebuje wyjeżdżać na pustynię, bo on zrobi majątek w Warszawie. Wiem o tem, że jesteś jego przyjacielem i raduje się z tego moje serce, jak szlachetny koń, kiedy zjada daktyle. Dlatego znajdziesz u nas schronienie i będziesz bezpieczny. Nauczymy cię kraść konie i możesz dojść do majątku.

Przyjęty tak gościnnie, Pączek odpoczywał i odżywiał się, daktylami i pilawem z baraniny. Nauczył się jeździć konno i strzelać z rusznicy, rozmyślając smutno, że musi w tem dojść do wielkiej wprawy, będzie to bowiem niedługo jedyny sposób utrzymania się przy życiu. Pośrednictwo kilku Tulipanów i pomoc w gwałtownej ucieczce zrujnowały jego portfel; pozostała w nim niewielka resztka z mnogiej ilości dolarów. Pan Pączek ukrył swój skarb bardzo przezornie i nie rozstawał się z nim nigdy, mniemając słusznie, że Tulipan Arab niedaleko odpadł od Tulipana Niemca, kiedy zaś ujrzał, jak Tulipan Arab z cudowną wprawą kradnie konie innym szczepom, pomyślał, że jedna tysiączna część tej genjalnej wprawy wystarczy na ukradzenie jego wychudłego portfelu.

Może bliska już jest chwila, kiedy znowu trzeba będzie uciekać. Potężny ród Tulipanów utrzymuje ścisłe ze sobą stosunki, może się więc zdarzyć, że kiedy Tulipan berliński

dowie się o zamordowaniu Stasia Tulipana, pchnie natychmiast depeszę do ambasadora rodu w Egipcie, ten zaś, dosiadłszy wielbłąda, pogoni jak wichr na pustynię i wpadnie do duaru, który dał Pączkowi przytułek, z wrzaskiem i rozpaczą. Wtedy siwobrody szeik każe związać Pączka i porzuci go na pustynię, sępom i szakalom na pożarcie.

Pilnie tedy baczył Paczek, czy kto przyjeżdża do obozu i gotów był każdej chwili do ucieczki. Upatrzył sobie konia, miał zawsze w pogotowiu bukłak, pełen wody i sakwę z daktylami.

Ani przypuszczał, jak szybko mu się to przyda.

Pączek patrzył w pustynię i nie widział, że para czarnych oczu patrzy wciąż w niego. Im więcej porastał w ciało i nabierał kolorów, tem oczy te patrzyły w niego natarczywiej. Musiał wreszcie spotkać się z temi oczyma. Należały one bezspornie do nadobnej córki szeika, panny w wieku dojrzałym. Zwała się ona przedziwnie słodko i poetycznie, Azoe, co się wykłada: „Kwiat cebuli“.

Gdy wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Pączka, dziewica zadrżała, jak klacz natolska, nagłą żądzą ogarnięta. Pączek zaś ujrzał, że dziewica ma egipskie zapalenie oczu, zapewne dlatego, że Egipt był niedaleko.

— Salem! — rzekł Pączek, nagłem przerażeniem zdjęty.

— Alejkum salem! — odrzekła dziewica i czerwone jej oczy zaszły mgłą zachwytu. — Czy szlachetny cudzoziemiec zadowolony jest z pobytu wśród nas?

— Jestem szczęśliwy, — westchnął Pączek.

— A czy nie tęskni za swoim krajem?

— Tam za mną tęsknią, — chciał odrzec Pączek, lecz skłoniwszy głowę, powiedział, jak należało: — Niewdzięcznym szakalem byłby ten, co zaznawszy gościnnego przyjęcia w twoim szczepie, o, Azoe, chciałby stąd pójść.

— Ach! — zarżał Kwiat Cebuli, — mowa twoja jest jak wianie zefiru, albo szum palmy daktylowej. Chciałbyś przeto zostać wśród nas?

— Tak długo, — odrzekł dwornie arabskim stylem Pączek, — jak długo będzie żył szlachetny szeik, ojciec twój, i jak długo będzie żyła Azoe, a któż nie wie, że słońce zagaśnie i jego szakal księżyc umrze, a oni jeszcze żyć będą. Chciałbym zostać na wieki!

— Maseltopf! — wyrzekł jakiś głos uradowany.

To sędziwy szeik, który od wielu już chwil słuchał pięknej rozmowy swojej córy z cudzoziemcem, słowem tem, zapewne arabskiem, wyraził wielkie swoje zadowolenie, że tak bardzo czci go młody cudzoziemiec.

— Bądź pozdrowiony, lwie pustyni, słońce lata, wspaniały ogierze stada, — recytował Pączek, — obyś żył wiecznie i oby nikt śladu twojego nie odkrył na pustyni, kiedy będziesz powracał, kupiwszy wielką ilość szlachetnych koni.

— Dziękuję ci, cudzoziemcze, ale pójdź za mną, — mam dla ciebie wiadomość, która cię oślepi.

Kwiat Cebuli, oczy skromnie dłonią zakrywszy, odszedł chyłkiem, zasię Pączek szedł za szeikiem w wielkiej trwodze.

Kiedy usiedli na stosach baranich skór i kiedy zjedli

nieco daktylów, rzekł szeik:

— Patrzymy na ciebie, piękny cudzoziemcze, od dłuższego czasu i poznaliśmy twoją duszę. Niema konia bez błędu i niema człowieka bez wady, to też i ty, zbyt wielki jeszcze czynisz hałas na wyprawie po konie, zapomniawszy, że należy radować się z hałasem wtedy dopiero, kiedy cię nie złapią, nigdy zaś przedtem, kiedy jeszcze mogą złapać. Każda niezręczność da się jednak naprawić, chociaż zapewne bardzo niezręczny musiałeś być w swojej ojczyźnie, jeśli w tej chwili jesteś tutaj. Ale nie są to moje sprawy, tylko twoje... Widzę tylko jasno staremi oczyma, że ci tam będzie dość trudno powrócić. Możesz więc zostać wśród nas...

— Szeiku! niech na twoją brodę kapie rosa niebieska, a synowie twoi...

— Sy git, sy git!... dosyć, dosyć! My sobie teraz gadamy prywatnie, po co tak ładnie? Ja panu chciałem zrobić propozycje, doskonałe propozycje.

— Zmieniam się cały w słuch.

— Panie cudzoziemiec! Ja panu dam sześć koni...

— Sześć koni?

— Co, mało? Pan mi się podoba. Pan nie wie, o co idzie, a pan się już targuje! — pan jest dobry do interesu. Ja panu dam dziesięć koni!

— Ależ...

— Poczekaj pan! Ja panu dan jesz cze dwieście baranów, cztery wielbłądy i sześć namiotów... Ja panu dam cztery strzelby i trzy daktylowe palmy. Pan rozumie, co to warte?

— Bardzo wiele...

— Nu! myślę sobie! Ja to panu daje, chociaż u nas jest taki zwyczaj, że ja tyle powinienem dostać.

— Za co?

— Aj, pan nie jest domyślny! Za moją córkę, za śliczną dziewuszkę, za Azoe! Pan się jutro musi ożenić z Kwiatem Cebuli! Zrobione!

— Zemściłeś się, Tulipanie! — ryknął w duszy biedny Pączek.

— Jak będzie? — pytał szeik.

Pączek był blady i chwiał się.

— Ja jestem żonaty... — kłamał w rozpaczy.

— Oj, to nie jest żadne zmartwienie, to jeszcze lepiej!

— Ja jestem katolik! — krzyknął Pączek.

— Katolik? Nu i co? Moja córka zakochała się w panu, tak jak nigdy w nikim. I wie pan, co ja panu powiem? Ona się zakochała w panu właśnie dlatego, że pan jest katolik. To jest mądra dziewczyna, ona już ma dość arabskich żydków. Pan tu na pustyni jest rarytas. Katolik! katolik! Nic nie szkodzi, — panu się jutro zrobi obrzezanie i pan już nie będzie miał zmartwienia.

— O, Allah! — krzyknął Pączek, już z nawyku.

— O, widzi pan! pan już nie jest katolik! — rzekł szeik uradowany.

— A co będzie, — zapytał z drżeniem Pączek, — jeśli ja się nie zgodzę?

— Oj, co ma być? Ja nawet o tem nie myślałem, bo pan się zgodzi. Czy ja panu nie pokazywałem wielkiego budynku niedaleko stąd? To jest francuska placówka, oni tam mają takie przyrządy, że oni się o pana zapytają prędko

w Europie, a z Europy prędko powiedzą, żeby panu włożyli na ręce kajdanki. A czy ja tego chcę? Ja tego nie chcę.

— Godzę się! — rzekł Pączek z mocą.

— Ja panu dodam sto baranów, — krzyknął szeik z radością, — niech pan tylko weźmie tę dziewczynę. Azoe!

Azoe musiała podsłuchiwać niedaleko, bo wnet się zjawiła, ona i egipskie zapalenie.

— To jest twój mąż! — rzekł szeik uroczyście. Niech ją pan pocałuje...

— W tej chwili usłyszał Pączek w powietrzu śpiew.

— Boska Aido, cudzie piękności, niebiański kwiecie...

To śpiewał duch Tulipana, siedzący na najbliższej palmie.

W nocy Pączek uciekł.

Udało mu się wymknąć z obozu w cudowny sposób. Konie już umiał kraść, więc ukradł szeikowi najlepszego konia i gnał teraz jak wichr. Musiano spostrzec bardzo późno ucieczkę oblubieńca, bo dopiero nazajutrz ujrzał Pączek opodal kogoś, kto go wytrwale gonił. Poznał go: to był Kwiat Cebuli.

Byłoby rzeczą straszliwą i ludzkie siły przerastającą opisywanie, co się działo w dalszym ciągu z nieszczęsnym Pączkiem. Są to opowieści tak rzewne i tak straszliwe, że zabrakłoby ludziom lez. Aby więc nie jątrzyć boleści opisem dokładnym, w którym każde słowo byłoby nieszczęściem, rozpaczą, udręką, strachem i Izą, należy krótko spisać potworne przygody nieszczęsnego człowieka, co znalazł szpilkę.

Po kilku dniach dostał się do niewoli do srogiego

plemienia Arabów, którzy ze zgrozą poznali, że biały cudzoziemiec siedzi na koniu, u nich właśnie ukradzionym. Wybili mu więc (Pączkowi, nie koniowi) pięć zębów i złamawszy jedno żebro, kazali mu pracować tak bardzo ciężko, że z Pączka niedługo zostało widmo. Żadna jednak, najcięższa nawet praca nie była ciężką w porównaniu z jedną, której udręka nie da się opisać; oto ile razy Arabowie zabili na polowaniu strusie, przynosili do obozu wielką ilość strusich jaj i — o, zgrozo! kazali te jaja — wysiadywać Pączkowi. Bito go potem boleśnie, ponieważ w sztucznej hodowli strusi do żadnego nie doprowadził rezultatu.

Uciekłszy i stąd szczęśliwie, po wielu miesiącach zawędrował w głąb Afryki. Schwytany przez murzynów, był niańką małych murzyniątek, nosił parasol jako berło przed murzyńskim królem, wreszcie go sprzedano za dwa kły słoniowe i lusterko potężnej królowej murzyńskiej nad jeziorem Czad. Sroga ta królowa używała go jako konia, poznawszy zaś jego wielką cierpliwość i łagodność, kazała odkarmić, wreszcie go zaślubiła uroczyście, kiedy jej wyznał, że nie jest byle kim, gdyż jest również potężnym wojownikiem, co zabił swojego wroga.

— Czy zjadłeś go? — zapytała kró — Tylko serce i wątrobę, — odrzekł Pączek dumnie, — a resztę rzuciłem psom!

Taka bowiem właśnie moda panowała wśród tego szczepu, wobec czego królowa darowała mu mosiężne kółko, które nazajutrz miano mu jako honorową odznakę wprawić w nos.

Ocalił się na łodzi z kory, na której popłynął w dół wielkiej rzeki. Po drodze krokodyl odgryzł mu dwa palce u lewej ręki, kiedy chciał zaczerpnąć wody, poczem nosorożec rozbił jego wątłą łódź.

Pączek wędrował piechotą, żywiąc się, jak małpa. Nigdzie nie spotykał ludzi. Nie wiedział, czy się smucić tem, czy radować. Niemożliwe było, aby w Afryce było tylko dwóch z rodziny Tulipanów.

Kiedy siedząc na zwalonym pniu i patrząc bez myśli przed siebie, ujrzał nagle ludzką sylwetkę, zbliżającą się w jego stronę, nie zdumiał się bynajmniej. Coś się przecie musiało z nim stać; gdzieś go wreszcie zjedzą, albo dzikie zwierzęta, albo dzikie ludzie. Uciekać niema po co, ani niema dokąd.

Z pomiędzy gęstwy liści patrzyły na niego oczy złe i mściwe i po chwili ukazała mu się straszliwa istota, która zaczęła bębnić wielkiemi rękami po szerokich piersiach.

Istota szła najwyraźniej w jego stronę z wielkim gniewem, aby go zabić.

Pączek spojrzał, jak błędny, i ujrzał znajome rysy twarzy. Tak, to ktoś z Tulipanów. Więc podniósłszy się, uchylił kapelusza i zapytał łagodnie:

— Pańskie nazwisko brzmi zapewne: Tulipan?

Istota ryknęła, jakby ze zgrozy, i chwyciwszy gałąź, cisnęła nią w Pączka, poczem, otrząsnąwszy się, jakby oburzona, pobiegła w gąszcz.

— Ach, pomyliłem się, — rzekł sobi zbiedzonym głosem Pączek, — to nie z Tulipanów, ale podobny. To był goryl...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY,

KTÓRY NA GŁOWIE CZYTELNIKA PODNOSI RESZTĘ WŁOSÓW, DOTAD SPOKOJNIE LEŻĄCYCH.

Spotkawszy w Transvaalu dostojnego Holendra, van Tulpena, dogadał się z nim Pączek bardzo szybko; był to bowiem Tulipan holenderski, stryjeczny dziadek Stasia Tulipana. Jego pomocy, przez rozbudzenie w nim dawnych wspomnień, — ten Tulipan bowiem pochodził z Sochaczewa, — zawdzięczał Pączek dostanie się niedługo potem na statek handlowy, jadący do Ameryki.

Był to statek nadzwyczajny, statek upiorny, — nie było bowiem na nim nikogo z rodziny Tulipanów, — naturalnie prócz Stasia Tulipana, którego upiór siadywał na rejach, lub bujał w bocianiem gnieździe, pilnie bacząc, co się dzieje z jego mordercą?

Morderca odpoczywał. Przeżył miesiące tak okropne, że mu się to należało słusznie. Los ma czasem litość nawet nad zbrodniarzem, który w tej chwili, patrząc na nieskończoność morza, przypominał sobie, jak zły sen, kaprawe oczy Kwiatu Cebuli, murzyńską małżonkę swoją, której nigdy nie był pewny, gdyż podczas jego głębokiego snu mogła mu była odgryźć nogę i inne sobie przypominał dzieje, tak przeraźliwe, jako te żeglarza Sindbada.

Dreszcz nim wstrząsnął, kiedy sobie przypomniał, jak przez dwa tygodnie był w niewoli u małp, które poczciwie

zresztą, chciały go wielu nauczyć mądrości, widząc jednak beznadziejną tępotę człowieka, porzuciły go wreszcie, zirytowane, że istota, która się tak bardzo stara być do nich podobna, do tego stopnia jest niepojętna.

Rozmyślał więc, że jeśli przeżył to wszystko, to chyba przeżył najgorsze. Cóż go może spotkać? O, już nic, już nic! Zapadnie w Ameryce w jakąś puszczę i tam, jako wolny strzelec i jako wędrowiec nieustraszony, dokona żywota. Już chyba odcierpiał za swoje.

— Gdybym był zastrzelił katolika, — myślał z goryczą, — ukryłbym się byle gdzie, ale za Tulipana los mi nie da spokoju. Los nie jest chrzczony, to pewne...

— Niech pan zejdzie do kajuty, — rzekł mu w tej chwili pomocnik kapitana, — burza nadciąga!

— Tego mi brakowało, — pomyślał Pączek.

Staś Tulipan zlazł powoli z masztu, przez szparę pod drzwiami wcisnął się do jego kajuty i przyczepił się do ściany. Pączek ujrzał go najwyraźniej, bo błyskawica rozdarła niebo tak straszliwie, że aż zawyło z bólu i gniewu głuchym, warczącym grzmotem.

Okręt, przerażony, zaczął gnać przed siebie, jak oszalały; skakał po falach, wdzierał się na bałwaniaste góry, leciał łbem w dół w wodne przepaście, kładł się nagle zmęczony na boku, jakby chwytał oddech, a chwyciwszy go w płuca żagli, znów się zrywał do biegu.

— To wszystko dlatego, że ja tu jestem. To dla mnie ta cała parada! — uśmiechnął się Pączek z goryczą.

— Panie Pączek! — zawył nagle duch Tulipana, jakoś straszliwie, jak wichr, — pan się utopi!

— Ja się wody nigdy nie bałem, panie Tulipan, — odrzekł Pączek złośliwie.

— To pan napisz testament! — huknął Tulipan, jak piorun.

— Maszt główny strzaskany! — krzyczano na pokładzie.

— Okręt ogarnęła panika i tylko jeden człowiek na nim by spokojny, spokojem śmierci — Pączek. Człowiek, którego chciano obrzezać, nie lęka się byle czego. Patrzył raczej drwiąco niebezpieczeństwu w oczy, uśmiechał się jadowicie i czekał katastrofy.

Okręt pędził gdzieś w bezkres, jak spłoszony koń, a burza gnała za nim, podcinając go z wyciem radości batem błyskawicy. Trwało to cały dzień, potem całą noc.

— Nie uważa pan, że to nudne? — rzekł Pączek do ucha Tulipana.

— Zaraz się pan utopi! — zaśmiał się rechotliwym śmiechem wiatru Tulipan.

W tej chwili wszystko zadrżało, zatrzęsło się, zaskrzypiało, zatrzeszczało i wszystko zaczęło pękać: niebo, morze, okręt i żebra ludzkie. Okręt wpadł na jakieś skały rozpędem kuli armatniej i nadział się na nie, jak indyk na rożen. Straszliwy wrzask przekrzyczał burzę. Na pokładzie działy się jakieś straszne rzeczy, jakiś sąd ostateczny.

Pączek długo się nie ruszał. Dopiero, kiedy ujrzał wodę, walącą mu z pod nóg, jak ze źródła, podniósł się leniwo.

— Zaczyna się! — pomyślał.

Wydrapał się na pokład, gdzie prócz przelatujących ze wściekłością bałwanów, nie było nikogo. W świetle

błyskawicy ujrzał Pączek dziesiątki topielców, wesoło huśtających się na falach, a w oddali łódź z resztą załogi.

Pączek porwał ten i ów przedmiot, karabin, ładownicę i czekał nowego światła z nieba. Ujrzał niebawem, że okręt rozbił się na zębatych skałach jakiejś wyspy, czarnej, bazaltowej, groźnej w zarysach.

Bez namysłu skoczył w morze. Najbliższy bałwan, ujrzawszy go w wodzie, ułapił go za kark, podniósł wysoko w górę, a ujrzawszy nieszczęsną gębę, spłowiałą, spopieloną, zmiętą, pooraną, ulitował się zapewne nad nieborakiem, bo nim cisnął daleko, w stronę wyspy. Pączek zarył biedną głową w piasek, ale porwał się szybko i ręką ułapił jakiegoś kamienia.

Jeszcze raz ocalił mizerne swoje życie.

Zjadłszy nazajutrz kilka ślimaków, poszedł w głąb wyspy. Była ona dzika i niezamieszkała. Nigdzie śladu człowieka, wszędzie głucho i strasznie. Pączek zastrzelił jakoweś zwierzę z długim ryjem, sztucznie rozniecił ogień, zjadł, napił się wody i machnął ręką. Czy mu nie wszystko jedno? Tu, czy w Ameryce, czy w piekle? On już nie należy do tego świata. Dostał się na wyspę — niech będzie wyspa. Może to nawet lepiej, że wyspa jest nieznana ludziom...

Krążył po niej i nigdzie nie znalazł śladu człowieka.

Po kilku tygodniach postanowił się przenieść na jej cypel najdalszy, ku ujściu potoku. Zebrał biedne manatki i poszedł.

Wędrował przez cały dzień i o zmroku doszedł do celu. Jakież było jego zdumienie, kiedy ujrzał chatkę, skleconą z palmowych gałęzi, tuż nad brzegiem morza...

Ostrożnie podszedł bliżej, patrzył, patrzył, poczem oczy szeroko otworzył, jak warjat w chwili najwyższego zdumienia i nagle ryknął straszliwym, okropnym głosem. Nad drzwiami chatki wisiała tablica, a na niej kulasami wypisano:

„Gedale Tulipan z Warszawy. Handel towarów kolonjalnych“.

W chatce siedział stary żyd, bardzo poczciwie wyglądający. Siedział za stołem, który czynił wrażenie lady sklepowej; piętrzyły się na nim banany, orzechy kokosowe i ananasy; był pieprz, suszone ryby i wysuszona morska sól.

Pączek, który wiele widział i niezmierne przeżył okropności, jednak się zdumiał, Gedale Tulipan natomiast nie okazał zbytniego wzruszenia. Usłyszawszy polski język, nastawił ciekawie ucha i zdaje się, że drgnął.

— Kto pan jest? — zapytał Pączek strasznym głosem.

— Gedale Tulipan, właściciel sklepu.

— Skąd się pan tu wziął?

— Co znaczy, skąd się wziąłem? Ja tu siedzę dziesięć lat, bo się okręt rozbił, a ja się uratowałem. Pan też?

— Ja także...

— To może pan dobrodziej co kupi?

— Po co pan założył ten sklep, czyś pan zwarjował? Przecież na tej wyspie niema ludzi...

— A jakby przyszli? Taki sklep to jest dobry interes, nic nie potrzeba do niego kupić, a wszystko można sprzedać. Ja założyłem ten sklep, bo ja muszę mieć jakieś zajęcie. A że pan tu jest, to możemy zrobić spółkę. Pan z Warszawy?

— Z Warszawy...

— Oj, mnie bardzo przyjemnie! To pan tam musi znać Stasia Tulipana? Ja jestem jego stryjaszek. Aj, co to za głowa, co za głowa! Pan jego dawno widział?

— Niedawno, siedział na maszcie...

— Gdzie siedział? co znaczy: siedział na maszcie?

— Ach, nie! Widziałem go w Warszawie, to mój przyjaciel.

— On jest pana przyjaciel? Wi pan co? Niech pan weźmie sobie tego ananasa, ja jego panu daję z radości. No, ja panu dam jego na kredyt... Pan ma strzelbę, to pan zastrzeli dzikie bestje i pan mnie da za to jego skórę.

Pączek zmartwiał. Rozpacz jego była wielka, jak ocean. Mógł i chciał zostać na tej dzikiej wyspie do końca życia, teraz za żadną cenę tego nie chce. Żyć z Tulipanem do śmierci, nie! tego nie zdoła.

Cierpiał strasznie przez wiele miesięcy, unikając stryja Tulipanowego, który siedział przez większą część dnia w straszliwym swoim sklepie, zamykał go jednak dwoma patykami w każdą sobotę i odmówiwszy modlitwy, szedł z wizytą do Pączka, który mieszkał w jakiejś pieczarze, aby porozmawiać o Stasiu Tulipanie.

Dziwna rzecz, lecz upiór Stasia nie był obecny na wyspie, uważając widocznie, że gdzie jest żywy Tulipan, tam już duch jest niepotrzebny.

Pączek zaczął już w palmowym lesie przyglądać się palmom, chcąc wybrać najbardziej dorodną, na której by się mógł obwiesić, kiedy niespodzianie przyszło ocalenie. Burza zagnała jakiś statek w pobliże wyspy, załoga wybrała się na nią po słodką wodę i znalazła dwóch rozbitków.

Już na pół zdziczały i zidjociały, przybył Pączek do Ameryki, gdzie go wpuszczono, jako rozbitka, co w morzu wszystkie postradał dokumenty. Tulipana zgubił odrazu w Nowym Jorku. Uciekł od niego, jak od rozpaczy.

W chwili, gdy się z nim rozstał, ujrzał, że z najbliższego automobilu wyskoczyło w jego stronę widmo Stasia. Uśmiechnęło się jadowicie i szło za nim. Pączek byłby niemile zdziwiony, gdyby go nie było.

Tułał się po Nowym Jorku, głodny, biedny i wynędzniały. Machnął jednak ręką na życie i zapadł w ciężką, niczem się nie wzruszającą martwotę. Żył tylko oczekiwaniem śmierci.

A jednak się wzruszył.

Raz ujrzał w parku, że ktoś pozostawił na ławce polską gazetę amerykańską; zaczął ją przeglądać machinalnie, aż nagle drgnął i dusza w nim zawyła. Wielkiemi literami wydrukowano tam ogłoszenie, które tak brzmiało:

„Konsularne władze polskie poszukują usilnie Feliksa Pączka z Warszawy, przepadłego bez wieści 4 marca roku... Opis szczegółowy osoby poszukiwanego... Wzywa się każdego, kto go odnajdzie, aby dał znać o tem tam i tam... Nagroda 10 dolarów“.

Umarły i dawno pogrzebiony śmiertelny strach Pączka, nagle podniósł się z grobu ze zjeżonemi włosami, zielony i okropny. Odebrał mu władzę w nogach, tak, że Pączek, który chciał odrazu uciekać — wszystko jedno dokąd, — nie mógł uczynić kroku.

— Ja to czytałem! — szepnął duch Tulipana szelestem gazety.

Pączek miał Izy w oczach.

— Wstyd, jak pan mało wart, panie Pączek, — mówił duch, — tylko dziesięć dolarów.

Pączek wstał i szedł, słaniając się, jak błędny. Więc na nic tyle rozpaczy, tyle utrapień, na nic taki długi czas straszliwości. Szukają go i wreszcie go znajdą, bo i świat jest za mały i Pączek już nie ma sił do ucieczki. Nie będzie przecież okrążał całej ziemi bez końca.

Rozpacz, rozpacz, rozpacz...

Jednak jeszcze ucieknie, choćby na złość temu straszliwemu duchowi, co się za nim wałęsa przez morza i lądy.

W tej samej gazecie przeczytał przedtem, że wielka Kompanja Kinematograficzna poszukuje statystów na Indjan do wielkiego filmu „Śladem krwawej zemsty“. Odnalazł adres i zgłosił się z wielką gotowością. Po kilku dniach zawieziono go w pampasy z całym tłumem oberwańców i poczęto robić zdjęcia na autentycznym terenie dzikich awantur.

Pączek, mocno wykształcony w kinematografji, okazał się aktorem wybornym; udawał okropnego Indjanina, skakał przez ogień, zgrzytał zębami i tańczył wojenny taniec z dziką furją. Zachowywał się, jak stary, renomowany warjat, co mu zyskało niebylejakie imię u reżyserów.

Jednego dnia kazano mu pojechać konno daleko na pustynię i stamtąd jechać galopem w stronę aparatu, tak, aby w chwili zdjęcia szkapa, na której cwałował, mogła paść martwa, do czego jej zresztą wiele nie brakowało.

Pączek pojechał. Zdziwiło go, że Staś Tulipan, który brał udział we wszystkich zdjęciach, gdzieś się zapodział w przestrzeni i w tej chwili nie siedzi za nim na siodle, wedle zwyczaju, lub na głowie szkapy, pomiędzy jej uszyma.

Rozmyślając nad tem, wjechał w wysokie trawy prerji. Nagle, jak szatani z pod ziemi, wyrośli z traw prawdziwi Indjanie i po upływie sekundy, Pączek z lassem, zaciśniętem dokoła gardła, cwałował w przeciwną stronę.

— Zaczyna się nanowo! — pomyślał smutno.

Zauważył na popasach, że pomalowani na wojenne kolory Indjanie, patrzą na niego z jakąś szczególną nienawiścią, a jednak z trwożnym jakimś szacunkiem i strzegą go, jak oka w głowie, stawiając przy nim poczwórne straże i na noc przywiązując go na krzyż do dwóch kijów. Jedzenie podawano mu na końcu dzidy, jakby się bali, że ugryzie tego, co go chce nakarmić.

Pączek miał w sobie już tylko ułamek duszy, rozpacz jego zaczynała być większą od niego. Patrzył na wszystko błędnym wzrokiem, spojrzeniem tępem nieszczęśliwego idjoty.

Po wielu dniach przywiedziono go do wsi indyjskiej i natychmiast stawiono przed wodzem.

Wódz ze straszliwym orlim nosem siedział ponury i zgrzytał od czasu do czasu zębami. Pomalowany był wieloma kolorami, w czarnej czuprynie miał wpięte trzy orle pióra. Przypomniały się Pączkowi wszystkie kinematografy i dreszcz po nim przebiegł, kiedy ujrzał, że wódz ma u pasa niezliczone skalpy wrogów.

Pączek począł drżeć na całem ciele. Wówczas gromada

srogich Indjan spojrzała na siebie ze zdumieniem, tu i owdzie odezwały się zdumione okrzyki.

Pączek niczego nie rozumiał i bał się jeszcze więcej.

Indjany długo coś szwargotały z wodzem, straszliwie pokrzykując i wciąż wskazując na Pączka. Wódz nie rzekł ani słowa, tylko znowu zgrzytnął zębami, od czasu do czasu zaś splunął z pogardą. Poczem podniósł się z powagą i coś wyrzekł.

Straszliwy krzyk podniósł się w gromadzie Indjan. Kilku chwyciło Pączka i powlokło go na majdan, gdzie stał słup.

— Aha! — pomyślał Pączek, — to słup męczarni...

Uwiązano go w mgnieniu oka. Nagle, jakby z pod ziemi wyrosły, zjawiły się okropne megiery indyjskie, baby wstrętne i brudne. Zaczęły tańczyć z radości i wyć. Wojownicy stanęli naprzeciwko i poczęli uragać Pączkowi, wygrażać nu pięściami i wywijać tomachawkami. Tymczasem miła młodzież indyjska poczęła znosić suche gałęzie i rzucać je dokoła Pączka.

— Będę spalony, — pomyślał Pączek.

Wódz zjawił się na zakończenie uroczystości. W gromadzie Indjan zaległa wielka cisza, bo wódz zaczął przemawiać do Pączka. Pączek kręcił głową na znak, że nic nie rozumie; wódz jednak musiał źle rozumieć te gesty, bo zgrzytnął zębami tak straszliwie, że najbliżej stojący wojownicy, cofnęli się w przerażeniu. Potem, dobywszy lśniącego noża, zbliżył się do Pączka, a chwyciwszy go lewą ręką za czuprynę, prawą, zbrojną nożem, zbliżył się do nieszczęsnej głowy Pączka, aby mu zdjąć skalp.

Wtedy Pączek wydał z siebie wielki głos.

— O, Tulipanie! — krzyknął — strasznie się zemściłeś!

I zamknął oczy.

Coś się musiało stać, gdyż Pączek uczuł, jak lewa ręka wodza, nagle puściła ze swych szponów jego włosy.

Pączek ostrożnie otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i ujrzał dziwne widowisko: wódz, któremu nóż wypadł z ręki, patrzył na niego rozszerzonemi oczyma, jak warjat na warjata.

Pączek się uśmiechnął przeraźliwie. Gromada dzikich Indjan stała, jakby zaczarowana i zamieniona w kamienne bałwany.

Nagle wódz rzekł chrapliwie:

— Co mój brat powiedział?

Pączek znów zamknął oczy, myśląc, że już umarł, albo oszalał, albowiem straszliwy wódz mówił po polsku. A wódz powtórzył:

— Co mój brat wyrzekł przed chwilą?

Pączek ożył. — Wezwałem przed śmiercią imienia przyjaciela mojego Tulipana.

— Oj! — wrzasnął wódz, — howgh uff!

Podniósł z ziemi nóż i rozciął nim więzy Pączka.

We wsi był koniec świata. Stało się coś niesłychanego. Wódz chwycił dłoń jeńca i wiódł go do wigwamu. Tłum przysłuchiwał się po chwili z niezmiernym podziwem ich rozmowie, niczego nie pojmując.

— Jeśli mój brat, — mówił wódz, szybko machając rękami, — mówi tym językiem, w takim razie mój brat nie jest Bizonem Krwawym.

— Nigdy nim nie byłem...

— Oj, oj! Ja zaraz zwarjuję... To dlaczego mój brat ma na twarzy wojenne kolory Czarnych psów?

Pączek poślinił palec i przejechał nim po gębie, ukazując zdumionym widzom białą rysę.

— Howgh! — krzyknęły wielkim głosem dzikie Indjany.

— Ja grałem do kinematografu! — rzekł Pączek.

— Oj! — krzyknął wódz, — mój brat jest biały?

— Zupełnie i wszędzie...

— A czy mój biały brat wie, że moi wojownicy chcieli go spalić, bo myśleli, że to jest Jaszczurcze Oko, wódz Dzikich Psów, sam pies i łajdak? Ale mój biały brat zna Tulipana, mój brat jest moim bratem. Powiedz pan sam, co za szczęście! co za szczęście! Jakiego Tulipana zna mój biały brat?

— Stasia Tulipana, z Warszawy...

— Stasia, tego, co się przedtem nazywał Jojne. Och, och!

— A kto ty jesteś, wodzu? Musisz być sławnym wodzem, mając tyle skalpów u pasa?

— To? to nie skalpy, teraz już niema na kim brać skalpów; to są peruki, a ja tem handluję, bo Indjanin musi mieć skalp. Ja byłem fryzjerem, więc się na tem znam. Kto może robić skalpy, ten jest wielkim wodzem. Dobry kawał, co? Ja się tu nazywam Natan Żelazna Brama. Ślicznie, co? A pan wie, kto ja jestem?

— Na Boga, kto?

— Ja jestem Symche Tulipan, dziadek Stasia Tulipana.

Pan Pączek zawył i zemdlał.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Kornel Makuszyński](#).*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I OSTATNI, W KTÓRYM NIESZCZĘŚCIA BOHATERA MOGĄ CZYTELNIKA PRZYPRAWIĆ O SZALEŃSTWO.

Tego już było za wiele nawet dla Pączka, zahartowanego w nieszczęściach.

Widział jasno, że choćby mu się udało uciec z ziemi na Marsa, pierwszą osobą, którą by tam spotkał, byłby Tulipan, albo wuj, albo dziad, albo stryj. Tego zwyczajny człowiek znieść nie może. To już zbyt wielka klątwa za jedno morderstwo, klątwa, która nigdy końca mieć nie będzie.

Pączek leżał długo nieprzytomny, potem długo nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Kiedy zaczął chodzić, odkarmiony przez indjańskie megiery, uprosił straszliwego wodza, Natana Żelazną Bramę, aby go odstawił gdzieś w pobliże kolei. Uczynił to z ciężkiem sercem krwawy wódz, bo pokochał Pączka, jak syna. Dał mu niezmierny dowód miłości, gdyż mu pożyczył pieniędzy na zwykły rewers i na zastaw jedynej rzeczy, jaką Pączek posiadał, na zegarek.

Pączek był zdecydowany. Miał już wszystkiego dość; jechał więc, aby umrzeć w ojczyźnie.

Wiózł więc teraz swojego trupa, bo Pączek właściwie już nie żył. Ruszał się, czasem jadł, jechał w pociągu, ale nie żył. Czy to jest życie?

Wykombinował resztką myśli, że dożywotnie więzienie

w Warszawie będzie rajem wobec tego, co on przeszedł. Miał żal do samego siebie, że się tułał po świecie, zamiast odrazu zgłosić się do policji w Warszawie. Przeszedł piekło, zostało z niego widmo, nieszczęsna imitacja człowieka, rozpacz, nie człowiek, trochę kości w skórzanym, pomarszczonym, ledwie się trzymającym worku. Serca nie miał, bo wyschło, zęby mu tu i owdzie wybili, duszy nie miał, bo mu ją zjadł strach żarłoczny, palce mu zjadł krokodyl, włosy wyrwała mu rozpacz, — i oto ta resztka nieszczęsna wraca teraz, aby odpocząć w więzieniu.

Gdyby go chcieli nawet uwolnić, wzruszeni nieszczęsnym jego widokiem, narobi wrzasku i będzie się domagał sprawiedliwości. Za nic na świecie nie chce być wolnym. Na wolności spotka Tulipanów, wszędzie, wszędzie. Niema zakątka na ziemi, gdzieby nie było Tulipanów. Potęga Stasia Tulipana nie ma kresu.

Rozpacz Pączka nabrała rumieńców: oto już ma jakiś cel na koniec żywota. Już nie będzie uciekał, bo jakżeż może żywy człowiek ujść przed Tulipanem?

Pączek podróżował długo i rzec można, zdążał ku Warszawie namiętnie. Już tam pewnie o nim zapomnieli, o świetnym, o szczęśliwym Feliksie Pączku, ale sobie przypomną. Gruchnie wieść o jego powrocie, proces będzie jednym wielkim wrzaskiem, a on bez drgnienia pokaże zdumionym ludziom jedną, malutką, niepozorną rzecz: szpilkę i powie tylko te słowa:

— Oto jest sprawca wszystkich straszliwych nieszczęść moich! Gdybym jej nie był znalazł, byłbym szczęśliwy. Ha!

Tak jest! Tym straszliwym okrzykiem: ha! — zatrzaśnie

wieko swojej trumny, a szpilka będzie pierwszym do niej gwoździem.

Zrozumie wtedy panna Danuta Słoneczko, że to nie była złota szpilka z brylantem, lecz zwykła, choć straszna szpilka. Ta... oto ta właśnie...

Pączek odchylił klapę steranej na nic kurtki. Jest! Pewnie że jest to bydlę wstrętne, ten przyrząd djabelski, wymyślony przez kobietę, bo gdzieżby się podziała? Przeszła z nim świat, tak mu wierna, jak nieszczęście. Tonęła z nim w solnem bagnie na Saharze i w afrykańskich rzekach i w oceanie, była z nim na pustyniach i była w puszczach, zawsze w pobliżu serca. Pordzewiała, straciła blask, ale jest. Dobrze, że jest. Weźmie ją z sobą do więzienia, ostrym jej końcem wyskrobie na więziennym murze swoje przeraźliwe dzieje.

Już jest blisko tego więzienia.

Już się zbliża do Warszawy. Idzie piechotą, jedzie na gapę, uparcie i z rozpaczliwą namiętnością.

Przywędrował wreszcie do Warszawy.

Idzie ulicą. Ludzie patrzą na niego z litością, lub podejrzliwie. Jakżeż mają patrzeć inaczej na szkielet człowieka w wypłowiałych łachmanach? Pączka to nie obchodzi, Pączek dawno umarł, a teraz idzie zamówić swój pogrzeb.

Podszedł do policjanta.

— Przepraszam pana, proszę mi powiedzieć, gdzie jest najbliższa stacja policyjna?

— To dziwne, że pan tego nie wie, — rzekł, śmiejąc się policjant, — tak pan wygląda, jakby pan nigdy stamtąd nie

wychodził.

Wskazał mu drogę.

Przyszedł Pączek do komisarjatu i prosił o pozwolenie widzenia się z komisarzem, nie chciano go jednak wpuścić. Pan komisarz nie ma czasu na gadanie z byle włóczęgą. Ponieważ Pączek nie odchodził, zirytowali się wreszcie dobrzy ludzie.

— Czego pan właściwie chce?

— Przyszedłem się oskarżyć o morderstwo... — rzekł słodko Pączek.

— Nie może być!

— Tak, panie, ja jestem poszukiwanym od dwóch lat mordercą.

Zaniesiono go niemal na rękach przed oblicze komisarza, który mu się długo przyglądał blady i wzruszony.

— Jak się pan nazywa?

— Nazywałem się Feliks Pączek...

— A teraz jak?

— Podobno tak samo.

— Nie rozumiem. Skąd pan przybywa?

— Wprost z prerji Ameryki Północnej, przedtem przewędrowałem Afrykę. Spędziłem czas niejaki na wyspie bez nazwy.

Komisarz począł patrzeć z niepokojem, ale Pączek sprawiał wrażenie, że jest jednak przy zdrowych zmysłach.

— Pan zamordował człowieka?

— Tak, panie.

— Za co?

— Za sprawą tej szpilki.

Pączek wydobył szpilkę i pokazał ją pod światło.

— Przepraszam, czy pan sobie przypadkiem nie przypomina jednej rzeczy? Nie mieszkał pan przez czas dłuższy w Tworkach? Może panu było tam źle i pan uciekł?

— Nie, panie! — rzekł smutno Pączek, — na nieszczęście ja nie jestem warjatem. Ja mówię prawdę. Proszę mnie zrozumieć. Ta szpilka nie była, rzecz prosta, narzędziem, ta szpilka była powodem. Znalazłem ją. Chciałem ją użyć do zapięcia bluzki pewnej damy. Kochanek tej damy ubliżył mi. Tego człowieka ja zastrzeliłem...

— Kiedy?

— Przeszło dwa lata temu...

— Tu, w Warszawie?

— Tak, w jego mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej, numeru domu już nie pamiętam.

Komisarz spoważniał i zapytał uroczyście:

— Jak się nazywał zamordowany?

Pączek jakby wykrztusił połkniętą ość.

— Nazywał się Stanisław Tulipan. Był bankierem.

Komisarz policji zaczął mrugać wesoło oczyma i nagle ryknął śmiechem; policjant, spisujący zeznania, ryknął również.

— Przyjacielu, — rzekł komisarz, — jest jasny dzień, a pan już jest urżnięty. Nie usadzę pana na wytrzeźwienie, bo tak pan mizernie wygląda, że mi pana żal. Ma pan powód do pokrzepiania sił. Ale niech pan na drugi raz głupich żartów nie robi, bo pana zamknę naprawdę.

— Ja mówię prawdę! krzyczeć — zaczął Pączek.

— Głupi pan jest! Jak się pan nazywa?

— Feliks Pączek...

— Nie może być! Pan się nazywa Feliks Pączek? Ach, jakaż niespodzianka! Ależ panie, o pana jest tu rwetes od dwóch lat, że nie daj Boże.

— Spodziewam się! — krzyknął Pączek. — Niech mnie pan natychmiast uwięzi!

— Ja, pana, za co?

— Ja zamordowałem Tulipana!...

— Biedny pan jest! Nie wiem, co się z panem działo, ale to panu nie posłużyło. Niech pan chwilę poczeka...

Komisarz poskoczył do telefonu w drugim pokoju i długo coś do niego gadał.

Pączek siedział martwy.

Po kwadransie wpadł do komisarjatu adwokat Pączka.

— Panie! — zawołał radośnie, — to pan wrócił? Ja pana od dwóch lat szukam po całym świecie. Depesze i listy kosztowały majątek. Ale na biednego nie trafiło, bo to przecież na pański koszt. Wszystkie policje na całym świecie szukały pana.

— Wiem o tem, — rzekł Pączek ponuro.

— Ale znalazł się pan, to dobrze, o, to dobrze!

— Dlaczego mnie pan szukał, pan przecież nie jest policją?

— Policją? Jak to mam rozumieć? Nie jestem policją, ale pańskim adwokatem, miałem obowiązek szukania pana.

— Po co?

— Po co? Panie Pączek! Pan znikł czwartego marca, a szóstego marca, nadaremnie czekając pańskiego zjawienia

się przy jej łożu, umarła święta i równie ` bogata, jak święta, ciotka pańska. Zostawiła panu ogromny majątek. Więc szukałem pana. A pan znikł bez śladu. Dlaczego?

— Zamordowałem Stanisława Tulipana i uciekłem.

— Kogo? Pan zamordował? Panie Pączek!... Tulipana?

— Zaraz się wyjaśni! — wtrącił szybko komisarz. — Już dzwoniłem w tej sprawie. Za pięć minut.

Adwokat kręcił głową, próbując, czy mu w niej co nie bulgoce, poczem uszczypnął się w ucho.

W tej chwili otwarły się drzwi.

Pączek spojrzał i skoczył w górę na wysokość metra.

— Tulipan! — ryknął głosem tak strasznym, że szyby zadrżały.

We drzwiach stał Staś Tulipan, trochę uśmiechnięty, trochę przelękły.

— Precz! precz! — ryczał Pączek, — i tu za mną przyszedłeś? Precz, widmo... widmo...

Rzucił się z rękami do gardła Tulipana, który uciekł po za biurko.

— Tak samo wtedy uciekł za biurko, — darł się Pączek, — tak samo! On tak zawsze...

Obezwładnili Pączka, a Tulipan, kłapiąc zębami ze strachu i wzruszenia, tłómaczył:

— Ja tu przyszedłem dla pańskiego dobra, panie Pączek... Niech się pan uspokoi... Ja wiem, co pan myśli... Ale to nieprawda... Panowie! Ja miałem przed dwoma laty zajście z panem Pączkiem... Ja miałem kochankę, a on miał szpilkę, ale to dużo do gadania... No i pan Pączek wystrzelił do mnie z rewolweru. Ja upadlem, — bo kto by nie upadi?

Jak kto strzela, to lepiej upaść. Może nie strzeli drugi raz? Pan Pączek myślał, że mnie zastrzelił i uciekł. Po co on uciekał, ja nie wiem. Gdyby był trochę poczekał, to byłby się dowiedział, że ja żyję i że mi się dobrze powodzi... Panie Pączek, poco pan uciekł? Powiedz pan sam... Ja panu dawno przebaczyłem pańską niedelikatność, bo ja panu też coś zawdzięczam. Ja bardzo często o panu myślałem, gdzie też pan jest? My się nie mamy o co gniewać! Pan mnie mógł zabić. Całe szczęście, że pan nie umie strzelać... No, to jest cała historja...

Wszyscy obecni, spojrzawszy na Pączka, załamali ręce. Biedaczysko siedział nieruchomy, tylko obłąkanym wzrokiem patrzył w Tulipana.

Wszystkie cierpienia, wszystkie rozpacze, które spały gdzieś na dnie Pączkowego serca, wypełzły teraz na jego nieszczęsną twarz. To nie była twarz, to był cmentarz upiorów o północy.

Sam Tulipan był wzruszony i wycofał się dyskretnie do przyległego pokoju.

Adwokat posłał po dorożkę, aby odwieźć Pączka do jego mieszkania. Zamiast dorożki karawan też nie byłby od rzeczy.

Kiedy nieszczęsnego Pączka sprowadzili do dorożki, rzekł adwokat do komisarza:

— Biedny chłop! Ale on nie wie najgorszego...

— Boże drogi, co może być jeszcze gorszego?

— Pączek miał narzeczoną, starą pannicę, pannę Słoneczko...

— No?

— Panna Słoneczko wychodzi jutro za Tulipana...
— Niepodobna! Panna Słoneczko za... Tulipana?
— On się już nie nazywa Tulipan.
— Tylko jak?
— Zmienił nazwisko przed tygodniem. On się nazywa Jagiełło.

KONIEC.
PRZERAŹLIWEJ HISTORJI.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Kornel Makuszyński.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Fatalna szpilka

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- NiktWażny
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium